Wpisano do kontrolki periodyków
19 Rejonowej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych
Do 30 XI 1960 r.

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok III. Łódź, 25-31 XII. 1960 r.
Nr 51/52 (147/148)
Cena 1 zł

Najciekawszy numer świata powiększony, a kosztuje tylko 1 zł!

•

DWA KONKURSY

•

Dwutygodniowy pobyt w MEKSYKU.

•

Przestrogi przed śmiercią.

•

REWIA GWIAZD

•

O bocianach, miłości, górach i „pogłosach".

O BOCIANACH

Matka mówiła do nas: — jak zobaczyta bęcianów, to wołajta, to usiądą na dachu, jak będziecie tak śpiewać. To myśmy skakali, wywijali rękami, lataliśmy wokoło jak te bociany i krzyczelim:

Wojtek
pożycz mi portek
a ja tobie kapelusza
pojedziemy
do ratusza,
a w ratuszu
ładnie grają
same nóżki
podrygają.

I znów nazad i dookoła. To te bociany skrzydła rozczepierzyły, powoli koła robiły, chodziły jak uroplan.

WIESŁAW JAŻDŻYNSKI

Minął rok

DZBANUS est PATER...

Dzbanus est pater
konewka mater
soror piwnica
Ej czuk, czuk, czuk czuk czuk...
(z polskich pieśni bachicznych)

Aniśmy się obejrzeli i już nie ma roku 1960, przeleciał jak z bicza trzasł, a teraz szukaj wiatru w polu, nie dogonisz i nie złapiesz. Jesteśmy znowu starsi o rok, zdawać by się mogło dojrzalsi, lepsi, inni, ale to są pozory. Właśnie czas świąteczny pokazuje jak mało zmieniamy się choć mijają lata. Stoimy w oknie, patrzymy w niebo, gwiazdki pierwszej szukamy, ona otwiera drogę do ziemskiego raju, do stołu, moi drodzy, do sutego stołu.

A stół?

Miłyż ty mój Boże! Któż nam na świecie nie zazdrości świątecznego stołu? Pomyśleć tylko, w ciągu wieków wynaleźliśmy samych wódek coś kilkadziesiąt gatunków: ajerlik, bebłanina, barszczówka, brahą, cement z punktem chołerówka, ciarkówka, denaturat, dziadowska krew, halaburda, kapucówka, kontuszówka, kramka charakteryzowana, kocówka kontuszówka, krambambula, krupnik, napalanka, pejsachówka, pestkowa, pępkówka, przyjemnisia, gdzie tam jeszcze do litery „z", a już się ponad dwadzieścia odmian zebrało.

A przy stole?

Żaden naród nie umie wznosić tylu wspaniałych okrzyków biesiadnych co my: cyk, dżyst, alleluja, pojechali!, chaim, siulim!, daj Boże zdrowie!, czao bambino!, obyśmy!, do centralki panowie!, nasze kawalerskie!, perswaduję do waćpana, gloryja, niech się ta wódeczka wypija!, pijmy bo wystygnie!, no to cyk!, ach, kochani, dajcie mi ze trzy wołowe skóry, a duże, to wam wypiszę wszystko, co będziecie wykrzykiwać przy świątecznym stole. Dodam jeszcze co powiecie o gościach nazbyt energicznych przy waszym stole: żłopak, kirus, trąbochlaj, ochlapus, pompa, rzygulec, łykacy, chlapacz, cyckoń, gąbka, bibuła, bambus, lecz dość, pijcie sobie spokojnie przyszli wątrobiarze, śledziennicy i nerkowcy, przyszli członkowie związku zawodowego nadciśnieniowców. I tak się nie zmienicie, od czego zresz tą są święta, no nie?

Jonsif Fadlalla Atta (Sudan)
Foto: L. Olejniczak

Dwa łyki polityki — str. 8

A ja, widzicie, wasz smutny felietonista, swoje już wypiłem i dobrze wiem co to znaczy rąbnąć sobie zdrowo, cyckać, żłopać, trąbić, whijać w krzyże na mokro, smolić, dobrze sobie palnąć łykantego, kolejkować, filować i golić, dlatego święta nastrajają mnie filozoficznie. A dlo filozofii głowę trzeba mieć trzeźwą, człowiek cycnięty, dziabnięty, drynięty, czy podkirzony myślicielem nie zostanie, najwyżej obiecującym poetą.

Chciałbym coś zmienić w odwiecznych zwyczajach pijackich, nadać świętom jakiś inny charakter. Kiedy stoję w oknie, kiedy tak patrzę i patrzę na gwiezdny pył, który początku nie ma ani końca, kiedy sobie uświadamiam, że znowu jestem starszy o rok, pytam: dlaczego życie toczy się od początku do końca, a nie odwrotnie, dlaczego biegnie w

(Dalszy ciąg na str. 2)

ZBIGNIEW NIENACKI

Szopka krakowska

List zniecierpliwionego włóczęgi

Bardzo to nieładnie, panie redaktorze, że wysłał mnie pan do Krakowa i nie powiedział pan, po co mam tam jechać. Całą noc w pociągu nie spałem, tylko głowę trapiłem, czym w onym Krakowie mam się zająć i na co zwrócić uwagę. Rozważyłem całe swe dotychczasowe postępowanie, wspomniałem polskie narzekania, że za dużo się zajmuję zabytkami i w ogóle staroświecczyzną więc znajdę pańską życzliwość do mnie, co niejednokrotnie podnosiłem, pojąłem w lot, nie o zabytki chodzi, nie wysyła się w teren pracowników dla ich osobistej przyjemności. I dopiero, kiedy nad ranem na Plantach zaczepiła mnie pewna krakowianka składając zachęcającą propozycję (a czynią to one inaczej niż gdzie indziej, mianowicie trącając ramieniem i biodrem) — zrozumiałem. Pan redaktor chciał, żebym przeżył PRZYGODĘ INTELEKTUALNĄ i Pan jako osobnik mi życzliwy, podobne przeżycia mi umożliwia. Tak oto wytłumaczywszy krakowiance, że o inną przygodę rzecz idzie, powędrowałem do hotelu, który jest bardzo polski, ale tam po staremu, po krakowsku, zwie się... „Francuski".

Lecz po porządku, panie redaktorze. O dworcu najpierw opowiem, o wielkich neonach, które wysokimi na chłopa literami w kilku miejscach zawiadamiają, że się przyjechało do Krakowa, a nie broń Boże — do Łodzi. W ogóle zauważa się na każdym kroku, że oni tam nie chcą być do nas podobni i ta ich obsesja, żeby broń Boże nie być Łodzią ani żadnym innym miastem, bardzo mnie zdziwiła i zaniepokoiła. Dworzec mają czysciutki i nie traktują go jak miejsca, gdzie można sobie popić, pospać, pospluwać, a którego sprzątać nie trzeba. Tak szacunek do dworców kolejowych jak w Krakowie dostrzegłem tylko w Związku Radzieckim, ale tutaj mają bardziej nowocześnie urządzone wnętrza. Ściany pomalowane w różne kolory jak w kawiarni, jak w teatrze, panie redaktorze. Dużo kas — o dziwo, jaśniutko, widniutko, pastelowo, wcale nie jak na dworcu kolejowym. Nie wiem, czy to znowu takie słuszne, żeby człowiek czuł się na dworcu nie jak na dworcu, i myślę sobie, że chyba kolejarze z Dyrekcji OKP Łódź też wiedzą co czynią, że te nasze łódzkie dworce w innym stanie pozostawiają. Bo skoro Kraków nie chce być podobny do Łodzi, to niby dlaczego my mamy być podobni do Krakowa?

Wyspałem się, pojadłem, a potem poszedłem na wędrówkę po mieście Krakowie. Nagle okazało się, że wraz ze mną przyjechał pewien łódzki poeta, a że milczał przez całą drogę, więc go dopiero na miejscu zauważyłem. Poecie na grypę się miało, rzekł więc do mnie: „gdzie apteka?". Powiedział pogłosem, a tu zaraz jakiś przechodzień nie pytany wskazał nam aptekę. Potem poecie zachciało się do baru mlecznego i zaraz jakaś kobiecina wtrąciła się do rozmowy i wskazała nam bar mleczny. Poeta był zachwycony podobną uprzejmością, ale ja nie jestem bezkrytyczny. Objechałem kobiecionę, bo czego się wtrąca do rozmowy? Czego podsłuchuje? Niech też nie myśli, że krakowiak jestem, ale łodziak z dziada pradziada. A u nas, panie redaktorze, wie pan sam jak to bywa. Wystarczy, że się przejdę wieczorem po ulicy, a zaraz jakieś osobniki wołają za mną: „e ty, okularnik", „e, ty, cztery oczy", jakby że krótkowzroczny jestem. W Krakowie dwie noce przełaziłem, ale nikt za mną nie wołał. Głupio się czułem, jakoś tak obco mi było. A zaś najgorzej, kiedy sprzedawczyni w kiosku „Ruchu" doradziła mi: „Kup pan te pocztówki, sam Szancer je malował". Sprzedawca gazet powiedział: „Do teatru pan chcesz iść, nie warto, w tym tygodniu nic ciekawego nie grają".

Co o tym sądzić, redaktorze? Czy można być takim prostakiem i pomyśleć, że są od nas kulturalniejsi i grzeczniejsi? A jeśli nawet tak i ono jest — to pomyślałem — zapewne dlatego, że nie mają tak jak my w Łodzi tej kapitalistycznej spuścizny. Wie pan, co mi odpowiedzieli? Że mają spuściznę nie tylko kapitalistyczną, ale i feudalną. Po feudałach, ba, po królach, zamki pozostały i mieszczańskie kamienice. Podobno to przez te różne pozostałości mieszczańsko-feudalne, Nową Hutę im zbudowaliśmy, żeby im dopomóc przemóc się do Nowego. Bogatemu, redaktorze, to i wół się ocieli.

Poszedłem tę spuściznę obejrzeć. Nie powiem, zasobna. Dwa złote biorą za wstęp do grobów królewskich, dwa

(Dokończenie na str. 10)

NASTĘPNY NUMER „ODGŁOSÓW"

DO ZOBACZENIA W PRZYSZŁYM ROKU!

ukaże się w czwartek, 5 stycznia i będzie JESZCZE CIEKAWSZY!

DZBANUS est PATER...

(Dokończenie ze str. 1)

siątki, czy siedemdziesiątki, jak tam komu wypada. Kości trzeszczą, w krzyżach łamie, oczy mało co widzą, nóżki przygięte, a tu coraz lepiej, co rok o rok człowiek młodszy. Żona młodnieje, miłość coraz słodsza i kończy się na nocy poślubnej, przynajmniej u ludzi przyzwoitych. Dzieci coraz mniej sze, w końcu w ogóle ich nie ma, nie potrzeba agitować za świadomym macierzyństwem. A i my opuszczamy ten świat niemowlęciem będąc, nieświadomi okropieństw w rodzaju pralkierunku śmierci, a nie narodzin? Kto tak głupio ułożył nasze życie? Przecież lepiej, znacznie lepiej byłoby zaczynać życie od końca.

I rozważam sobie na trzeźwo jakby to było. Zaczyna sobie człowiek od sześćdzieni ekspressowych, programu telewizyjnego, restauracji, czy żyletek krajowej produkcji. Bawimy się grzechotką i nie wiemy nic o nadprodukcji guzików, które topi się w stawach, nie musimy czytać fraszek Sztaudyngera, ani powieści rysunkowych w „Ekspressie Ilustrowanym". Ot, jesteśmy w dniu urodzin na pięknej łące i czekamy na bociana, bocik przylatuje, a dalej — sami państwo wiedzą.

Zdaję sobie sprawę z wagi tego pomysłu, rozumiem też, że nie da się go zrealizować. Maszynę zawracającą drągiem czas daloby się skonstruować. Nasza polska trochę by szwankowała i Polak miałby jednego dnia pięćdziesiąt lat, drugiego osiem miesięcy. Ale pól biedy z tym, byłoby nawet wesoło. Umawiasz się z dziewczyną, przychodzi babcia z wnuczętami.

Chodzi przede wszystkim o te ciemne siły, które stawią opór przeciwko powrotowi do dnia narodzin. Myślę, że to będą niektórzy kelnerzy, bezrobotni z willami i samochodami, niektórzy prezesi, część murarzy, którzy tak pięknie pobudowali się, wykorzystując doroczne zjawisko dematerializacji, nazywane „rozkurzem", pewnie i garść gryzipiórków, którzy piszą życie po góralsku, przez „rz" i jeszcze inni. Nie dopuszczą proszę państwa, nie będą chcieli powrócić do skrobania kartofli, pasionki, sprzedawania patentowanych szelek na placu Tamfaniego, nie będą chcieli więcej gwizdać na gołębie.

Cóż tedy może czynić trzeźwy filozof podczas świąt? Może tylko nie odcinać się od reszty. Tandem tedy — siądę sobie na kamyczku i gorzałkę łyczku, łyczku. Razem z wami. Nasze!

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

JERZY WILMAŃSKI

Tak każe zwyczaj *czyli* próba bilansu

Zwyczaj, zresztą dobry zwyczaj każe, aby przy końcu jakiegoś zamkniętego okresu dokonywać obliczeń, podsumowań, jednym słowem bilansu czy choćby próby bilansu pewnych spraw i wydarzeń. Ten felieton jest taką właśnie próbą zbilansowania wydarzeń i problemów kulturalnych naszego miasta. Spróbujemy w jakiś skrótowy sposób określić to co się działo, lub przeciwnie — nie działo — w kulturze Łodzi w odchodzącym roku 1960.

Niełatwa to sprawa. Bo czyż wystarczy stwierdzić na przykład optymistyczny fakt wielu, bardzo wielu interesujących wystaw plastycznych (m. in. wystawa Wacława Taranczewskiego, wystawa sztuki eskimoskiej czy ekspozycja „Łódź w plastyce") nie wspominając słowem o tym, że jak na blisko 800-tysięczne miasto o wiele za mało osób przewinęło się przez te wystawy?

Wbrew jednak wszelkiej logice powiemy, że w tym wypadku medal ma aż trzy strony. Ta właśnie trzecia strona to inicjatywa łódzkich plastyków, organizujących wystawy malarstwa w zakładach pracy. Jak się zdaje, ta forma zwrócenia się do odbiorcy pozwala sądzić, że w latach następnych nie będziemy narzekali na niską frekwencję na wystawach plastyki. Podobną zresztą inicjatywę podjęli również łódzcy fotograficy, działający w ambitnym i żywotnym oddziale Polskiego Towarzystwa Fotograficznego.

To są na pewno akcenty optymistyczne w życiu kulturalnym Łodzi. Akcentów tych jest zresztą więcej. Kolorowa ofensywa, która z Piotrkowskiej ruszyła na podbój nowych osiedli na Żubardziu czy Dołach nie ominęła wnętrz sklepów i kawiarń... Dziś nie tylko w śródmieściu, ale i na odległych peryferiach napotkamy ładne, nowoczesne, i z myślą o gościu zaprojektowane wnętrza.

Ale wiele jest jeszcze brzydoty, wiele tandety, na którą niejednokrotnie zwracaliśmy w ciągu ubiegłego roku uwagę. Najsmutniejsze jest jednak to, że z reguły bez skutku. Dlatego ucieszył nas bardzo fakt powołania przy Wydziale Kultury Prezydium Rady Narodowej — komisji plastyki. Spodziewamy się wiele po działalności tego zespołu ludzi — będzie to wreszcie organ walczący czynnie z brzydotą, szmirą, tandetą artystyczną.

Skoro mowa o problemach plastyki, nie sposób pominąć sprawy galerii sztuki. Wstydliwa to sprawa. W ciągu minionego 15-lecia nie zdobyła się Łódź na porządny lokal wystawowy. Jak słychać, zdobędzie się na tę inwestycję dopiero w nadchodzącym 15-leciu. Na razie przeznaczono 3 miliony złotych na adaptację stareńkiego już przecież Ośrodka Propagandy Sztuki. Nie jest to, rzecz prosta wiele, ale trzeba pamiętać, że możliwości budżetowe miasta nie są przecież nie ograniczone. Pamiętajmy, że Łodzi przybyło w minionym roku jeszcze jedno muzeum. Placówka na pewno potrzebna zwłaszcza w Łodzi, mieście o tak żywych i bogatych tradycjach rewolucyjnych. Chodzi, oczywiście, o Muzeum Ruchu Robotniczego przy ul. Gdańskiej.

Wbrew opiniom jakie tu i ówdzie można usłyszeć nie jest Łódź na pewno pustynią kulturalną. Nie starczyłoby z pewnością miejsca, gdyby chcieć wymienić wszystkie podejmowane w ostatnim roku inicjatywy kulturalne. Dwie wszakże zasługują na wzmiankę z racji swego naprawdę szerokiego zasięgu. A więc przede wszystkim konkurs dla plastyków amatorów i „ekspressowa" szkoła — nie zawsze niestety, najlepszej piosenki. Imprezy te w szakże w dużym stopniu przyczyniły się do kulturalnej aktywizacji — zwłaszcza łódzkiej młodzieży. Stały się popularne, stały się tradycją i trudno sobie bez nich wyobrazić życie kulturalne Łodzi.

Przestano też — rzecz jest dość istotna, więc warto o niej wspomnieć — pomijać nasze miasto przy planowaniu atrakcyjnych koncertów. W roku minionym występowali w Łodzi między innymi Artur Rubinstein, Witold Małcużyński, Michel Block, Balet Teatru Wielkiego. A także, Śląsk i Mazowsze...

Premiery łódzkich teatrów przyciągają mieszkańców odległych nieraz miast. Tradycją niemal stały się „wyprawy warszawskie" do Teatru Nowego, a także „wyprawy warszawskie" Teatru Nowego. Ostatnia z tych wypraw — kiedy to warszawiacy mogli obejrzeć dejmkową „Obronę Sokratesa" — zakończyła się niewątpliwym sukcesem. Cenne novum tego teatru — Mała Scena wystawiła wiele ciekawych utworów dramatycznych takich autorów jak: Cat-Mackiewicz, J. M. Rymkiewicz, J. Warnecki.

Łódzki Teatr Powszechny wystawił na swej drugiej scenie sztukę „Pokój pełen dymu" łódzkiego aktora Karola Obidniaka. Przedstawienie szło kompletami, recenzje nawet warszawskich pism („Teatr", „Stolica") były nader pochlebne i... skończyło się raptem na 20 spektaklach.

Komuś z wysokiego szczebla kultury (na szczęście nie z Łodzi) coś się w tej ostrej, dyskusyjnej, a także potrzebnej sztuce o młodzieży nie podobało. Smutne.

Bardziej smutna jest natomiast inna sprawa. Chodzi o czytelnictwo, którego pisząc o geografii kulturalnej miasta nie można pominąć. Nie czytamy, niestety, zbyt wiele. Liczby, jak wiadomo, są uparte, a one właśnie mówią, że biblioteki wypożyczają rocznie 1.200.000 książek, co po odjęciu młodzieży studiującej i uczącej się, nie da więcej niż 2 książki rocznie na głowę statystycznego mieszkańca Łodzi. Natomiast ruch czytelniczy w naszym blisko 800-tysięcznym mieście zamyka się liczbą 660.000 osób rocznie. Diablo mało!

Przyczyny szukać chyba należy w zbyt jeszcze małej liczbie rejonowych wypożyczalni. Jest ich w Łodzi około 40, a więc zaledwie 1 na 20.000 osób. Wiele zakładów pracy, wiele rad zakładowych nie docenia jeszcze w sposób należyty działalności zakładowych kolporterów. Od zmiany tego stosunku zależy w dużym stopniu popularyzacja czytelnictwa w naszym mieście.

Wiele jest jeszcze spraw, które można by w bilansie kulturalnym Łodzi pisać in minus lub in plus. Trzeba wszakże przyznać, że tych in minus jest jednak znacznie mniej. Ot, pozostaje jeszcze otwarty problem ciągle zbyt małej aktywizacji kulturalnej przedmieść i peryferii. Ale i tutaj bądź poszczególne referaty kultury (Bałuty) bądź samodzielne placówki kulturalno—oświatowe (świetlica MPK w Helenowie) dają sobie doskonale radę.

Nie sądzimy również, żeby należało wpisywać na konto ujemne rozpadające się po kilku programach teatrzyki czy kabarety („Poddasze", „Hurmaczek"). Takie zespoły—efemerydy wnoszą bardzo wiele ożywczego prądu w atmosferę miasta. Na ich miejsce powstają inne (Teatrzyk „Karuzeli", studencki „Bąbelek") i wydaje się, że jest to zjawisko raczej pozytywne.

I naprawdę, to nie świąteczna gala, każe nam zamknąć ten bilans wynikiem dodatnim. To chyba jedyna słuszna ocena problemów i zjawisk kulralnych Łodzi anno domini 1960. Że mogło być lepiej? Oczywiście. Wierzymy, że w przyszłym roku będzie lepiej.

STANISŁAW CZERNIK

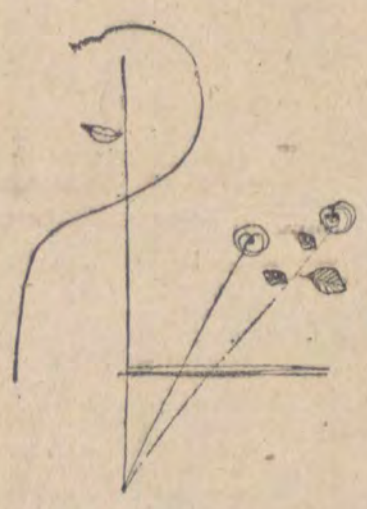

Uśmiech chiński

Tu żółw uśmiechu swego cząstkę ujmie,
Odda przewodnikowi,
By zdołał uśmiech rozwinąć potrójnie,
Za siebie, za mnie i za Wielki Mur.

Na ścieżce Muru wiatr z mandżurskich pól
Potrójny uśmiech zimnem przepołowi,
I ogniem mrozu cząsteczki przypali —
Byście z nim marli i zmartwychwstawali —
Więc pół dla życia i dla śmierci pół.

Lecz uciekajmy z Muru przed wichurą,
Niedomarznięty uśmiech znieśmy w dół.
Stacyjka Ba Do Ling, tu trochę lata,
Tu najpiękniejszy z uśmiechów: herbata.

Pomnik wiatrów

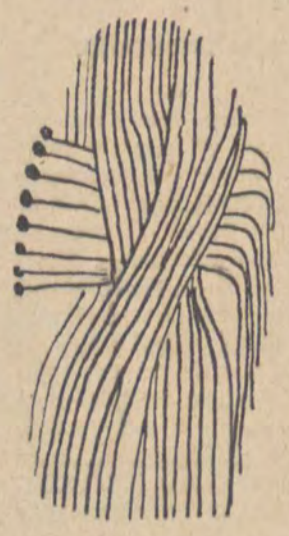

Spróchniały wiatrak,
Nic nie warty grat.

Lecz jakaż przemian przyczyna!
Bo naraz — pomnik wiatraków.
Ma śmigi z odległych światów,
Ma zabytkowy wiatr,
I kamień starty tak cienko,
Jak miarki młynarskiej denko.
Jedyny na cały świat!

A wczoraj — wiatraczyna,
A dziś — zabytek stylowy,
Wczoraj — spróchniałek i zgniłek,
A dzisiaj — więcej niż wiatrak.
Dziś — wiatrak „Nad".

Księżyc i kret

Ty pójdziesz górą,
Jak miesiąc między gwiazdami,
Ja pójdę dołem,
Jak kret po podglebiu.

Może się znowu spotkamy
Przy rozstrzelanej biedronce.
Księżyc nad nią zaświeci.
A kret ją pogrzebie.

Więc ty idź górą,
Jak miesiąc między gwiazdami.
Ja pójdę dołem,
Jak kret po podglebiu.

Fraszki

JERZY PACZKOWSKI

WODA I MYDŁO

Są dwa poważne powody,
Dla których Polska mi zbrzydła:
Za dużo święconej wody,
Za mało zwykłego mydła.

1936

STANISŁAW BRUCZ

PACZKOWSKIEMU W ODPOWIEDZI

Są dwie poważne przyczyny,
Dla których z Polską drę koty:
Za dużo czczej gadaniny,
Za mało dobrej roboty.

1960

Konkurs świąteczny

Pogodzeni zasadą koegzystencji – postanowili spotkać się w naszej redakcji czterej Szanowni Doręczyciele Gwiazdkowych Upominków: Dziadek Mróz (ZSRR), Père Noël (Francja), Santa Claus (USA), i św. Mikołaj (Polska). Celem spotkania miała być wymiana doświadczeń... i prezentów. Każdy więc przyniósł z sobą dziesięć przedmiotów charakterystycznych produktów kultury, przemysłu i rolnictwa danego kraju.

Zadaniem waszym — drodzy Czytelnicy — jest odgadnięcie, jakie upominki miał z sobą każdy z uczestników narady.

Rozwiązanie znajdziecie, wędrując (jak w labiryncie) po odpowiednich polach, gdzie przedstawione są owe przedmioty — aby w końcu dotrzeć na środkową kratkę z choinką. W każdym wypadku właściwa droga prowadzi przez 10 pól.

Najlepiej rzecz wyjaśnić na przykładzie: Santa Claus oczywiście nie przyniósł węgierskiego tokaju, ani czeskiej „Jawy" — ale figurkę zrodzonej w USA myszki Miki (nr pola 57). Na kuponie konkursowym obok imienia Santa Claus wpisujemy więc liczbę 57. Dalej musicie już zgadywać sami... I jeszcze jedno: z kratki na kratkę można się posuwać wzdłuż linii pól, a nigdy ukośnie (np. z pola nr 11 możemy przejść tylko do jednej z kratek powyżej, poniżej, na lewo lub na prawo, a więc numery 5, 18, 10, lub 12).

Rozwiązania należy przesłać na kuponie konkursowym w terminie do dnia 5 stycznia 1961 r.

Pomiędzy autorów prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy atrakcyjne, cenne nagrody.

KUPON KONKURSOWY

Imię i nazwisko .....

.....

Adres .....

.....

.....

Dziadek Mróz

Père Noël

Santa Claus

św. Mikołaj

ZROBIŁY BŁYSKAWICZNĄ I OSZAŁAMIAJĄCĄ KARIERĘ. WYSTARCZYŁO SIEDEMDZIESIĘCIU PARU LAT, ABY O ICH ISTNIENIU DOWIEDZIAŁ SIĘ CAŁY ŚWIAT A Z ICH USŁUG ZACZĘŁY KORZYSTAĆ MILIONY LUDZI. SĄ TWOREM NASZEJ EPOKI I DO NICH — WŁÓKIEN SZTUCZNYCH I SYNTETYCZNYCH — NALEŻY PRZYSZŁOŚĆ.

MUZA W KSZTAŁCIE GĄSIENICY

Nie wiem jak dla kogo ale dla mnie historia powstania włókien sztucznych jest z jednej strony dowodem genialności ludzkiego umysłu, z drugiej zaś strony jego niedoskonałości. I jeszcze — zapowiedzią nieograniczonych możliwości tkwiących w naturze.

No bo przez tysiące lat nikt nie wpadł na pomysł, że człowiek może na równi z naturą wytwarzać włókna. Przez tysiące lat mimo, że sama natura podpowiadała jak to zrobić i że rzecz była w zasadzie prosta jak przysłowiowe jajko Kolumba.

Dopiero w XVII wieku przyszło ludziom do głowy, że włókna można wytwarzać wzorując się na gąsienicy jedwabnika. Malutka gąsienica stała się natchnieniem i muzą. O tej pory pilnie śledzono, jak to za pomocą specjalnych gruczołów wytwarza kleistą substancję, jak w okresie przemiany w poczwarkę wygniata ją na zewnątrz, jak wreszcie substancja ta krzepnie na powietrzu i staje się nitką jedwabiu. Kleistą substancję usiłowano otrzymać z gum, żywic, roztworów żelatyny a nawet z tak tajemniczo brzmiących — aluminów, z jaj, wyciągu z alg i mchu karraganowego.

Pierwszym szczęśliwym z setek badaczy okazał się Francuz Hilary de Chardonnet, który w 1884 roku uprządł nić sztucznego jedwabiu. Fakt ten nabrał jeszcze blasku na skutek trwającego wówczas kryzysu w przemyśle włókienniczym, wywołanego chorobą jedwabnika, która, gdyby nie pan Hilary, doprowadziłaby do „plajty" wielu francuskich producentów naturalnego jedwabiu.

Taki był pierwszy krok. Po sztucznym jedwabiu przyszła sztuczna bawełna, wełna, juta, len, azbest itd.

Włókna sztuczne i syntetyczne określane przez specjalistów wspólną nazwą — włókna chemiczne, konsekwentnie wypierają włókna naturalne. Wystarczyło 76 lat aby powstał potężny przemysł, fabryki i instytuty, w których tysiące współczesnych „panów Hilarych" rywalizuje z naturą.

ROZWÓJ KRAJU WYMAGA...

...Obecnie świat pokrywa jedną czwartą zapotrzebowania na surowce włókiennicze włóknami wytwarzanymi chemicznie...

...Włókna naturalne jeszcze do tej pory cieszą się przewagą w wytwórczości tekstyliów, przyszłość jednak będzie niewątpliwie należała do włókien wytwarzanych przez człowieka.

...Ogólny rozwój kraju wymaga zwiększenia bazy surowcowej dla przemysłu włókienniczego. Brak na rynku krajowym bawełny i wełny uzależnia działalność przemysłu włókienniczego od dostaw zagranicznych. Za rozwój krajowej bazy surowcowej dla włókna odpowiedzialny jest w dużym stopniu przemysł włókien chemicznych...

...Za granicą znane i szeroko stosowane są włókna syntetyczne, poliamidowe, poliakrylonitrylowe, poliestrowe, z alkoholu poliwinylu, z chlorku poliwinylu, itd. natomiast w Polsce produkujemy tylko jedno syntetyczne włókno poliamidowe (stilon), i na niewielką skalę włókno poliestrowe „elana".

...Aby Polska osiągnęła poziom przodujących krajów kapitalistycznych, zachodzi konieczność dwukrotnego wzrostu produkcji włókien sztucznych i dwunastokrotnego włókien syntetycznych.

..W najbliższych latach zakłada się uruchomienie i osiągnięcie wysokiej produkcji włókna poliakrylonitrylowego i poliestrowego, oraz włókna octanowego.

...Mało jest w Polsce tak drogich i jednocześnie tak rentownych przedsięwzięć inwestycyjnych jak inwestycje w przemyśle włókien sztucznych i syntetycznych.

...Polska chemia za 5 lat będzie produkowała 117 tysięcy ton rocznie włókien syntetycznych w porównaniu z 54 tysiącami ton z roku 1955.

...W stosunku do roku 1958 produkcja włókien sztucznych będzie w 1965 wyższa o 75 proc.

Te wyjątki z referatów, planów, sprawozdań, opinii specjalistów i fachowców dobitnie wskazują na znaczenie jakie mają dla kraju włókna chemiczne i na wprost palącą konieczność rozwoju ich produkcji. Rozwój każdej dziedziny produkcji, a szczególnie tak nowej i młodej wymaga odpowiedniego zaplecza naukowo — badawczego. Tę właśnie rolę spełnia Instytut Włókien Sztucznych i Syntetycznych.

WYŚCIG NATURA — CZŁOWIEK

Trudno, proszę się na mnie nie gniewać, ale wszyscy pracownicy Instytutu Włókien Sztucznych i Syntetycznych (Łódź, ul. Curie Skłodowskiej 19-27) sprawiają na mnie wrażenie światobórców na etatach państwowych. Przyzwyczajona jestem do normalnych włókien naturalnych. I m..m to chyba po przodkach, gdyż jak pisze prof. A. Boryniec w „Technologii Włókien Sztucznych" — len znano już w epoce kamiennej, wyroby bawełniane odkryto na starych cmentarzach Azji i Peru, tkaniny azbestowe w egipskich grobowcach — jako śmiertelne całuny, wełny używano już 6 tysięcy lat temu, a początek produkcji jedwabiu naturalnego gubi się w przedhistorycznych mrokach starożytnych Chin.

Pracownicy Instytutu zamiast tych uświęconych i omszałych tradycją włókien starają się zaaplikować nam coś absolutnie nowego. W tym właśnie celu postanowili: śledzić postęp techniczny w dziedzinie włókien chemicznych, prowadzić prace naukowo-badawcze, współpracować z fabrykami (w Polsce jest 6 fabryk włókien sztucznych i jedna w Gorzowie — włókien syntetycznych), oceniać prace naukowo-badawcze, jakie się rodzą w kraju na temat włókien chemicznych, prowadzić informację techniczną i ekonomiczną z tego zakresu.

Włókna sztuczne (którymi zajmuje się Zakład Włókien Sztucznych — IWSS) są w połowie dziełem człowieka a w połowie — natury. A więc wyścig natura—człowiek pozostał w tym wypadku nierozegrany.

Len i bawełna są zbudowane z celulozy, a jedwab i wełna z białka. Celuloza (np. taka z drewna) i białko (np. kazeina otrzymana ze zwykłego mleka) stały się naturalnym surowcem, z którego po odpowiednim sprepa-

rowaniu człowiek wytwarza sztuczne włókno wełnopodobne, bawełnopodobne itd.

W Zakładzie Włókien Sztucznych najbardziej zadziwiały mnie

KORDY I ICH „ZMĘCZENIE"

Kierownik zakładu mgr W. Kiełbasiński patrzył zza szkieł z dezaprobatą, kiedy ani rusz nie mogłam zrozumieć co to takiego. Wreszcie okazało się, że kordy to rodzaj włókien sztucznych zrobionych z celulozy. Tkanina kordowa utkana na siateczkę stanowi osnowę opon i po zagumowaniu zamienia się w samochodowe, autobusowe lub inne koło.

Potężna maszyna stojąca w jednej z sal Instytutu nie przypomina w niczym delikatnego organizmu gąsienicy jedwabnika, choć pracuje jak on: przygotowuje roztwór przędzalniczy (matowy biały płyn) — z rozpuszczonej celulozy, wytłacza go setkami tysięcy otworów tzw. dysz, które zastępują ujścia gruczołów. Strumyczki płyną, krzepną, w oczach zamieniają się w cieniutkie włókienka — kordy do złudzenia przypominające zwykły, „damski" kordonek. Pokazują mi dyszę — maleńka okrągła, otworki widać jedynie pod światło. Koszt 6 tysięcy złotych dlatego, że składa się z 11 gramów platyny i rodu.

W Polsce produkuje się kordy typu standart, pracuje się nad kordami typu super — właśnie Instytut pracuje, a w przyszłym roku, także w Instytucie, rozpocznie się pracę nad kordami typu super S. Przy kordach w ogóle, a przy polskich w szczególności, najważniejsza jest wytrzymałość na „zmęczenie" tzn. na zginanie i zaginanie. Opona pracując zgina się i zagina. Nasze szosy — okropne. Przedłużając życie opony automatycznie zmniejsza się potrzebę importu drogiego kauczuku. Jednym słowem praca cenna i patriotyczna.

ZE SZKLANEJ KULKI

Na dobrą sprawę po IWSS laik powinien chodzić z otwartymi ze zdziwienia ustami. W jednej z pracowni Zakładu Włókien Sztucznych pokazano mi zielone przezroczyste kuleczki—ze szkła lino-boro-krzemowego i objaśniono, z których robi się włókna szklane, wypisz, wymaluj, takie jak anielskie włosy na choinkę. Zakład bowiem wespół z Łódzką Fabryką Włókien Sztucznych opracował technologię jedwabiu szklanego dla celów elektroizolacyjnych i na tkaniny techniczne. Ten jedwab jest nadzwyczajny, bo wytrzymuje bardzo wysoką temperaturę, jakiej za nic nie zniesie bawełna i jest od niej lżejszy. W Polsce powszechnie stosuje się jedwab szklany, importowany, i dlatego opracowanie krajowej technologii (w ŁZWS jedna maszyna już go produkuje) ma bardzo duże znaczenie. Tym bardziej, że silniki, do których jest niezbędny, chcemy eksportować w coraz większym stopniu.

Obecnie rozpoczęto także prace nad tzw. rowingiem szklanym tj. włóknem, które służy do wzmacniania mas plastycznych. Uzbrojone matą z tego włókna masy mogą być stosowane jako karoserie samochodowe, obudowy wagonów kolejowych, obudowy radia, blaty stołów, popielniczki itd. Za granicą wyroby takie są w powszechnym użyciu.

A w ogóle włókno szklane to jeden z cudów XX wieku. Z nich robiono hełmy, które ponoć opierały się kulom, odzież dla oddziałów narażonych na ataki miotaczy ognia, niepalne kurtyny i firanki.

Pracownicy zakładu (mgr T. Kalusiński i A. Kaszyński) zajmują się także bardzo ważnym problemem — unieszkodliwianiem ścieków i gazów. W związku z rozwojem chemii sprawa ta staje się wręcz alarmująca. Dobrze więc, że zakochani w chemii nie przestają dostrzegać jak bardzo czasem ona brzydko pachnie i truje.

WŁÓKNA EPOKI

Kiedy podejrzenie tworu natury — jedwabnika okazało się tak owocne dla powstania włókien sztucznych, postanowiono podglądać dalej. Dokładne badania i analiza wykazały, że ciała włóknotwórcze, a więc celuloza czy białko składają się z szeregu cząsteczek w kształcie długiego łańcuszka. Monopol natury na włókna skończył się z tą chwilą całkowicie.

W pracowni chemicznej człowiek-stwórca zaczął tworzyć ciała o łańcuszkowatym kształcie cząsteczek. Tak narodziła się grupa włókien z polimerów syntetycznych — włókien syntetycznych, stworzonych od początku do końca przez człowieka.

Polimer — jak to wygląda? Wyobrażałam sobie coś dużego i groźnego — a tu proszek biały jak mąka, zapakowany w torebkę z folii. Polimer poliakrylonitrinu tak się właśnie przedstawia, a rozpuszczony wygląda jak dojrzały złoty miód.

Przy wytwarzaniu włókien sztucznych rolę człowieka można porównać do roli rzeźbiarza — formuje dzieło z naturalnego tworzywa. Przy włóknach syntetycznych człowiek odgrywa rolę twórcy. I jego dzieło przewyższa naturę. Moc i odporność włókien syntetycznych jest większa od najlepszych włókien naturalnych. Podstawowym surowcem dla włókien syntetycznych jest węgiel lub jego proste połączenia z wodorem, azotanem, tlenem i chlorem. Z tych związków wytwarza się specjalne masy a z nich włókna.

Włókna syntetyczne są w Polsce właściwie dopiero w przededniu sławy, a Zakład Włókien Syntetycznych IWSS (kierownik mgr W. Łączkowski) pracuje już nad szeregiem nowych rodzajów.

U PROGU SŁAWY

We wstępnej fazie badań znajdują się prace nad włóknami z alkoholu poliwinylowego. Za granicą włókno to znane pod nazwą kuralon lub winilon świetnie zastępuje bawełnę. O wiele lepiej niż ona nadaje się na przykład na sieci rybackie. W przyszłym roku zakład ma zainteresować się bliżej najnowszym włóknem z polipropylenu. Jako niezwykle wytrzymałe nadaje się ono szczególnie do celów technicznych. Także w przyszłym roku rozpocznie się w zakładzie studia ekonomiczne nad niezwykle efektownym włóknem z octanu celulozy. Tkaniny z tego włókna mają piękny, jedwabisty połysk, nadają się świetnie na suknie balowe i wieczorowe, bieliznę, kostiumy kąpielowe, draperie, firanki, materiały płaszczowe i odzieżowe. Mało się gniotą i długo zachowują pierwotny kształt. Ciekawe, że z tego samego włókna w czasie drugiej wojny światowej świetnie zdawały egzamin flagi sygnalizacyjne, spadochrony, letnie uniformy.

W dalszym ciągu kontynuuje się prace nad:

włóknem poliestrowym, które złośliwi nazywają włóknem dla ubogich ze względu na bardzo cenne właściwości: tkanina z tego włókna nie wypycha się, zachowuje długo kształt, nie gniecie się itd;

włókien z poliakrylonitrinu (u nas „Anilana") za granicą („Orlon") świetnie nadająca się na dzianiny, sweterki, jerseje, a także na kołdry i dywany;

włóknem poliamidowym (stilon) mającym bardzo szerokie zastosowanie od tkanin ubraniowych do tkanin „mieszkaniowych" jak dywany i draperie.

BAZA DLA EFEKTU

Dla tych dwu zakładów efektownych z nazwy i zainteresować bazę, bez której nie mogłyby istnieć, stanowi cały szereg innych, np. Zakład Fizykochemii Polimerów (kier. mgr K. Hempel), dział informacji technicznej i ekonomicznej (b. ważny — badacz zanim zacznie wymyślać coś nowego musi poznać, co „w trawie piszczy").

Oceną włókien, wykańczaniem i określaniem wartości użytkowej zajmuje się między innymi Zakład Przerobu Doświadczalnego (kier. inż. W. Dworzański). W pracowni użytkowej zakładu stoi szafa z całym składem garniturów. Za ich pomocą ocenia się zachowanie nowego włókna z którego zostały zrobione. Kryterium porównawcze stanowi wełna. Garnitur otrzymuje w czasie przeglądu karne punkty, a ich suma składa się na ocenę jakości danego włókna.

W samodzielnej pracowni automatyki kierowanej przez prof. Modrzejewskiego pracuje się nad automatyzacją procesów związanych z produkcją włókien chemicznych. Szczególnie interesujące i cenne jest opracowane przez profesora urządzenie — tzw. pehametr do automatycznego pomiaru i regulacji ścieków.

I EFEKT BEZ BAZY

Na zewnątrz gmach IWSS wygląda bardzo pięknie i okazale. Okazuje się jednak, że nie mówiąc już o zadaniach, jakie czekają Instytut w przyszłości i na bieżące potrzeby, jest on o wiele za mały. Instytut budowany był bowiem jedynie dla włókien sztucznych i dopiero potem okazało się, że musi on służyć również włóknom syntetycznym. Te lokalowe trudności najbardziej odbijają się na zakładzie aparatury doświadczalnej i warsztatach. Warsztat — to baza wyjściowa dla prac tematycznych. Bez niej muszą one kuleć. Urządzenia i aparatura błąkają się po piwnicach. Pracę utrudnia także znikoma w stosunku do potrzeb ilość pracowników tych dwu działów. Zamiast 38 winno być około 75.

O braku techników (przynajmniej kilku) inżynierów specjalistów (też przynajmniej kilku) wspominam z kronikarskiego obowiązku, bo jest to niestety dla łódzkich instytutów zjawisko typowe i dla łódzkich czytelników nienowe.

Dyrektor Instytutu — inż. W. Sopiela wspomniał, że przewidziana jest rozbudowa Instytutu. Trudno jednak powiedzieć kiedy.

Inż. E. Kraul poinformował mnie m. in. że opracowanie technologii nowego włókna kalkuluje się na około 20 milionów złotych, ale licencja zagraniczna kosztuje kilka razy tyle.

Dla tak cennej i antyimportowej naukowej produkcji, jaką jest działalność IWSS, powinien być priorytet. Tym bardziej, że Instytut zrobił już niemało a zadań jest całe mnóstwo.

OGROM MOŻLIWOŚCI

Asortyment wyrobów tektylnych, który można produkować z włókien chemicznych jest praktycznie nieograniczony. Nie ma dziedziny w której nie mogłyby one skutecznie rywalizować z naturalnymi. Jest wiele dziedzin, gdzie są bezkonkurencyjne. Nalepka z napisem informującym, że dana rzecz wykonana jest z włókna chemicznego stała się synonimem wysokiej jakości, trwałości i oryginalności.

Od inicjatywy człowieka zależy jedynie kolor, grubość, połysk i rodzaj włókna. Człowiek może uprząść nić cieniutką jak pajęczyna i grubą jak włos koński, najgłębiej matową i najbardziej połyskliwą. I robi to z wprawą i pewnością stworzyciela.

KTO nie umrze na zawał serca?

Zdjęcia:
WACŁAW BILIŃSKI
Tekst:
JAN BEZZIEMI

1. „Walerian miał serce do Cecylii..." Czy wzruszenia stenieczne... są niebezpieczne? Czy grożą zawałem? Jeśli się objawiają w ten sposób, jak powyżej, rokujemy długie życie.

3. Grunt sie nie przejmować, klienci przyjdą, filozofię szatkarzy można nazwać s t o i c k ą, trzeba s t a ć i czekać, wszystko na świecie jest podporządkowane s u r o w e j konieczności czyli kapuście...

5. Sytuacja jest jasna. Tym się nie spieszy, nikomu się nie spieszy. Przewóz towaru? „Mogą poczekać". W sklepie wywieszka zapewniająca spokój na parę dni, może nawet otwierająca sen zimowy: remanent. To najpopularniejsze na ulicy Piotrkowskiej słowo świadczy o niewzruszonej równowadze ducha pewnej części pracowników naszego handlu, nikt z tego grona na zawał serca nie umrze, co do klientów nie jesteśmy tacy pewni.

6. Druga od miana stoicyzmu „na leżąco", pokora wobec zrządzeń losu; a może to polska odmian ćwiczeń jogów, zapewniająca spokój fizyczny i duchowy? Jeśli to ćwiczenia jogów — długowieczność murowana. W przeciwnym razie...

2. Ale uwaga! „Serce jest jako wójt całego ciała". Na stan zdrowia wpływa nie tylko styl życia, ale i racjonalne odżywianie. Nie znamy menu właściciela wagi osobowej, który nie przejmuje się brakiem klientów. Sądząc ze spokoju, z jakim oddaje się lekturze, można mówić o równowadze ducha... i ciała.

4. Oby była do serca człowieczego szyba! — powiadano dawniej, pięknie to i poetycko, nade wszystko zdrowo, spójrzmy co jest tą „szybą", w tym określonym wypadku uśmiech mówi więcej niż cały traktat. Sto lat!

7. ...w przeciwnym razie w tym miejscu koniec proroctwa. Jest to jedyna instytucja, której z całego serca życzymy trwałego bezrobocia. Dlatego wstęp dla histeryków, neurastenników, osobników neuronatycznych wzbroniony!

A. AWERCZENKO

Święto miłości

I.

Targowym placem, mokrym od niedawnego deszczu i błyszczącym od słońca, szli trzymając się za ręce dwaj dostawcy z branży drzewnej: Nikifor Błaznow i Iwan Potapycz Stieczkin.

— Gdybym był baronem, albo jakimś księciem, napewno przyjemniej by ci było ze mną spacerować — mówił Nikifor.

— Głupiś, braciszku — zaoponował rozczulony Stieczkin. — Co mi tam baron! Co mi książę! Najważniejsze w człowieku — to dusza. Żeby człowiek był bez złego...

— Nie ma ludzi bez złego.

— Są. Rzadko, ale są.

— A ja ci powiadam, że nie ma. Każdy ma coś na sumieniu...

— Niech i tak będzie. Bóg z nimi... Nie szkodzi, kochany, że cię trzymam pod rękę!

— Nie szkodzi, braciszku...

— Zapiąłbyś palto. Wieje...

— Nic mi nie będzie. Dobre masz serce, Wania... Może zmęczyłeś się, powiedz?

W oczach Stieczkina błysnęły łzy rozczulenia.

— Wcale się nie zmęczyłem. Bardzo przyjemnie mi się z tobą spaceruje...

Przyjaciele zatrzymali się pośrodku placu i przypadłszy do siebie wymienili długi, serdeczny pocałunek.

— Popatrz, Wania — powiedział Nikifor, wskazując na drewnianą budę jarmarczną, obwieszoną różnobarwnym płótnem. — Cyrk... Może wejdziemy? Warto by się troszkę rozweselić...

— W takie święto, jak dziś, to nawet byłby grzech nie uradować duszy. W powszedni dzień trzeba pracować, a święta dał nam Pan dla odpoczynku...

— Co prawda, to prawda.

Wziąwszy się znowu za ręce, przyjaciele podeszli do kasy.

— Panie kasjer! Chrystus zmartwych... Co to?! Nie ma tu nikogo. Hej, panie kasjer!...

— Może on jest w środku? Chodź, poszukamy go...

Obaj dostawcy wyjęli po trzyrublówce i trzymając pieniądze przed sobą na wyciągniętych dłoniach, żeby ich ktoś, broń Boże, nie posądził, że chcą się zabawić za darmochę, wkroczyli za zasłonę.

Chudy, kościsty człowiek, mrucząc coś do siebie, siedział na barierze, pokrytej jasnoczerwoną materią bawełnianą i naciągał na tykowate nogi ciemnoróżowy trykot.

— Aktor!... — szepnął z nabożeństwem Nikifor. — Dzień dobry! Chrystus zmart wychwstał. Proszę wybaczyć, że my tak bez pardonu.. Szukamy kasjera, bileciki chcieliśmy kupić na przedstawienie...

— Ja jestem kasjerem — odparł chudzielec i nie naciągnąwszy do końca trykotu pobiegł do kasy.

Otrzymawszy bilety, przyjaciele podziękowali grzecznie i zapytali:

— Przedstawienie szybko się zacznie?

— Jak tylko zbierze się publiczność.

— A jakiś bufet macie tu? Lemoniadki czlek by się chętnie napił...

— Już się robi!

Kasjer, przytrzymując rękoma swe artystyczne odzienie, pobiegł naprzód, smyrnął za bufet i przedzierzgnął się w wytrawnego sprzedawcę.

— Jak wam tu idzie? — spytał Nikifor, popijając wolno lemoniadę.

— Jakoś idzie, tylko publiczności cholernie mało. Diabli wiedzą, czy to miejsce jakieś pechowe, czy inne nieszczęście...

— Publiczność trzeba zachęcać — zauważył Stieczkin. — Sama nie przyjdzie...

— Nie możemy się rozerwać — żałobnym głosem odpowiedział artysta. — Jesteśmy tu tylko w dwójkę z bratem, do tego wielkolud i koń.

— A dyrektor nic nie pomaga?

— My sami z bratem jesteśmy dyrektorami. Nic, kochasiu, nie poradzisz. A wielkolud od samego rana żłopie wódę i leży urżnięty jak bela. Brat teraz ubiera się do wyjścia na arenę. Tak, tak, za mało tu rąk do pracy...

Wyraźnie zmartwieni tym melancholijnym komunikatem, przyjaciele westchnęli z współczuciem i powoli skierowali się w stronę krzeseł.

— Nie, Wania, tak nie można... — odezwał się Nikifor, przystając. — To nie po ludzku, nie po chrześcijańsku... Cały interes może wziąć w łeb. Chodź, wyjdziemy na świeży luft. Trzeba im pomóc... Takie święto, braciszku...

Przyjaciele, znalazłszy się przed budą, wyszukali jakiś bęben, dzwonek i energicznie wzięli się do dzieła... Bęben zabębnił, dzwonek diabelsko zadzwonił, a Wania, który miał dźwięczny, imponujący głos — złożył ręce w trąbkę i zakrzyczał co sił w płucach:

— Hej, panowie i panie! Tylko u nas, tylko u nas! Wspaniałe przedstawienie w wykonaniu najlepszych magików, komików i solistów z najwspanialszych dworów w Europie! Zobaczycie na arenie prawdziwego, żywego konia! Oszałamiający wielkolud wykona niebywałe sztuki!

Zauważywszy, że kilku przechodniów zatrzymało się koło budy, Wania cofnął ręce od odkrytych ust i zwrócił się do publiki bardziej intymnym tonem:

— Wejdźcie państwo — co tam... Trzeba przecież ten interes jakoś podtrzymać...

I mrugnąwszy okiem dodał już całkiem konfidencjonalnym tonem:

— Prawdę powiedziawszy, interes pod zdechłym psem... Gospodarz chudy, ledwo dusza z niego nie uleci. Pomoglibyście, państwo, artystom, z okazji święta prawosławnego...

— Prosimy, prosimy do środka! — dzielnie sekundował przyjacielowi Nikifor Błaznow.

Kilka osób uśmiechnęło się i niezdecydowanie zatrzymało na drewnianym pomoście. Wania chwytał ich w pół i delikatnie popychał do kasy, po czym dał susa za kotarę i po chwili jął gorliwie wypełniać funkcje kasjera: wydawał bilety, przyjmował pieniądze i szybko, z wprawą, wręczał resztę.

...Do kasy podszedł artysta w krótkim, znoszonym palcie, spod którego wyglądały ciemno-różowe nogi. Nie zdziwiony wcale działalnością przyjaciół zajrzał do kasy i spytał:

— Dużo?

— Dwanaście i czterdzieści kopiejek...

— No to można zaczynać. Zajmijcie swe miejsca.

II.

Pierwszy numer był taki: kościsty gospodarz wytoczył dużą, drewnianą kulę i wskoczył na nią... Ale kula wyślizgnęła mu się spod nóg i artysta o mało nie zwalił się na ziemię.

Długonosy brat ekwilibrysty wyjrzał zza kulis i syknął pogardliwie:

— Ach, ty niedołęgo!...

— Mówiłem ci, żebyś mi nie dawał na czczo wina? — zaperzył się artysta. — „Nie; wypij i wypij". No i masz — wypiłem!

Znowu skoczył na kulę, ale ta jak spłoszony koń zrzuciła go i skierowała się w bok.

— Trudno? — spytał ze współczuciem siedzący w drugim rzędzie rzemieślnik z siniakiem pod okiem.

— A coś ty myślał? — ze złością odpalił artysta. — Spróbuj, jak żeś taki mądrala!

— Trudna sztuczka — zgodziła się dobrodusznie publika, gryząc ziarna słonecznika.

Orotny dostawca Nikifor Błaznow wskoczył z miejsca.

— Pan pozwoli?... Pomogę...

Przesadził barierę, podturlał drewnianą kulę i ująwszy gospodarza mocno pod ramię podsadził go.

— Nech się pan mnie trzyma... Chwileczkę... Ale z ciebie, braciszku, niecierpliwy facet... Trzymaj się mocniej, bo zlecisz na łeb...

Dostawca zwrócił ku publiczności błyszczącą nie wiadomo z jakiego powodu twarz i pobłażliwie powiedział:

— Wypił troszkę... Z okazji święta.

— Nie szkodzi — odpowiedziała publiczność. — W takie święto nie wypić?

Gospodarz, stanąwszy wreszcie na kuli, zadreptał raźnie nogami, dostawca, przytrzymując ekwilibrystę, zachęcająco pokrzywiwał a katarynka, kręcona przez długonosego brata, zalewała się skoczną melodią.

Rozległy się oklaski.

— Dosyć! — zakomenderował dostawca. — Następny numer!

Długonosy wyszedł zza kulis, ciągnąc na sznurze psa. Artysta miał na sobie błazeński ubiór, pomięty cylinder a wszystko było obficie posypane mąką. Pojawienie się jego wywołało wśród publiczności ogólne współczucie.

— Popatrzcie, jaki on jeszcze młody!... — powiedziała jakaś staruszka, ocierając nos chusteczką.

Długonosy zdjął z głowy cylinder, ukłonił się.

— Szanowne panowie i panie! Mam wielkiego zaszczyt demonstrować ten oto czworonóg, który potrafić...

— Mów po rosyjsku... — doradził Nikifor.

— Dobra. Oto, proszę państwa, niebywały pies, który umie strzelać z pistoletu, zdycha na rozkaz i odgaduje liczby!

— Nie może być! — wyrwało się komuś z publiki.

— Jak pragnę zdrowia! Za raz się przekonacie!...

Clown rozłożył na ziemi kilka kawałków kartonu, na których widniały cyfry, złożył publiczności głęboki ukłon i spuścił psa ze sznura. Ten momentalnie zawrócił, podwinął ogon pod siebie i pobiegł za kulisy.

— Dokąd?! — wrzasnął clown. — Do nogi, przeklęte bydlę! A ty czego się gapisz jak sroka w gnat?! — krzyknął w stronę brata. — Łapże go, drania!

Kościsty gospodarz schwycił psa i przyciągnął go do długonosego.

— No, zmiataj już stąd! — burknął brat na brata, po czym uśmiechnąwszy się do publiczności zawołał: — Alle! Proszę państwa, może ktoś z was poda jakąś liczbę?

— Jeden! — krzyknął rozpłomieniony malec.

— Sto siedemnaście tysięcy pięćset dwadzieścia trzy! — zaproponował rzemieślnik z siniakiem pod okiem.

— Nie da rady, poproszę o pojedyncze cyfry. Do dziewięciu!

Z krzeseł posypały się propozycje:

— Jeden! Siedem! Dwa! Dziewięć! Pięć! Cztery! Osiem! Trzy!

Pies, zachęcony ciężkim kopniakiem swego długonosego pana, zaszczekał, skoczył — i chwycił w zęby cyfrę 6.

— Kto powiedział 6? — zawołał clown.

— Ja... — wybełkotał gimnazjalista, nadąwszy się z dumy.

— No i proszę! Pana cyfra! Pies sam ją wybrał!

Katarynka, której obsługą, na prośbę gospodarza, zajął się gimnazjalista, zagrała, a publiczność z zapamiętaniem biła prawa.

Zadowolony z sukcesu clown wyniósł krzesło, na oparciu którego dyndał muzealny pistolet ze sznurkiem, przywiązanym do cyngla — i powiedział:

— A teraz nasz fenomenalny pies będzie strzelał! Zobaczycie państwo japońską wojnę dwóch państw. Alle!

Pies skrył się pod krzesłem.

— Alle!

Ani prośby, ani kopniaki, ani groźby skierowane pod adresem przodków psa ze szczególnym uwzględnieniem jego matki i całej jego psiej progenitury — nie odniosły żadnego skutku: zwierzę za nic nie chciało opuścić swej kryjówki.

— Alle, świński łbie!

— Pan pozwoli, ja wystrzelę... — zaofiarował swe usługi milczący dotąd Stieczkin, któremu żal się zrobiło artysty.

— Proszę bardzo...

Dostawca podniósł się z krzesła, wyszedł na arenę i pociągnąwszy za sznurek wystrzelił z pistoletu.

Publiczność nagrodziła go oklaskami.

— Trudno było? — spytał z zainteresowaniem gimnazjalista.

— Głupstwo — odparł skromnie Stieczkin.

— Jest jeszcze coś w programie? — zwrócił się Nikifor do gospodarza.

— Mogę wyprowadzić konia na arenę, jeśli państwo sobie życzą...

— Nie warto. Po co męczyć zwierzę? Poweselilismy się i basta.

— A może szpadę połknąć? — nieśmiało zaproponował gospodarz.

— Daj pan spokój! Dwa lata temu byłem w cyrku w święto. Jakiś facet też połykał szpadę. Ale czy płótno mu się dostało do gardła, czy jakieś inne licho — nagle go zamdliło, przepraszam za wyrażenie. I co pan myśli? Całą szpadę, na trzy arszyny długą, wyrzuciło do przodu. Szpada to nie potrawa na Wielkanoc...

— A ja widziałem w Armawirze... — zaczął rzemieślnik z siniakiem pod okiem.

III.

Gospodarze i widzowie usiedli na barierze i potoczyły się ciekawe wspomnienia. Staruszka opowiadała, jak to kiedyś dzieci kładziono do mleka, żeby miały delikatniejsze ciało, a dostawca z branży drzewnej Wania przypomniał sobie, jak jeden z zatrudnionych u niego robotników podniósł na plecach osiemnaście pudów.

— A my mamy wielkoluda — tajemniczym głosem zaanonsował długonosy clown. — Pije i pije. Machnęliśmy już na niego ręką i położyliśmy go w garderobie. Nie pokazujemy go ludziom.

— Wysoki? — zainteresował się rzemieślnik.

— Nie bardzo. Średni. Tych największych to różni przedsiębiorcy rozchwytali na święta, zostali się tylko mniejsi. Może chcecie go zobaczyć?

Wszyscy podnieśli się z miejsc i gromadą pospieszyli obejrzeć pijanego wielkoluda.

Bracia, jak się okazało, mieli rację tylko w połowie: leżący w kącie był bardziej pijany, niż wielkolud.

— Na leżąco to on wcale tak groźnie nie wygląda — powiedział Nikifor. — Może by go postawić na nogi?

— Ilia — zwrócił się długonosy do brata — przystaw go do ściany!

— Wont! — krzyknął wielkolud, podnosząc pięść. — Dotknij mnie tylko, to ci pokażę, bydlaku!...

— Aach, te zakulisowe intrygi — westchnął Nikifor.

— Chodźmy stąd, państwo, nie mieszajmy się w wewnętrzne życie artystów...

Wszyscy wyszli. Gospodarz zatrzymał za ręce obydwu dostawców i szepnął do nich, jak do starych znajomych:

— Może wypijemy po kieliszku wódki?

— Można, czemu nie. Ale my stawiamy! A pana braciszek niech po koniaczek pobiegnie...

* * *

Była noc... Mała, naftowa lampa smętnie oświetlała garderobę cyrkową. W kącie wisiały ozdobione kolorowym papierem obręcze, kostium clowna, a pod nimi leżała drewniana kula, która została pokonana przez gospodarza dzięki pomocy dostawcy. Na podłodze, nakryci pomalowanym w ciapki płótnem żaglowym, cicho leżeli pogrążeni w mocnym śnie dwaj dostawcy z branży drzewnej, gospodarz i jego długonosy brat. Z dala, z drugiej garderoby, dochodził cienki, nosowy świst wielkoluda.

Głodny koń rozpętał się i długo chodził dokoła, szukając jakiejś strawy. Dobrnąwszy do garderoby, ściągnął ze stołu kiszony ogórek i żując go patrzał na śpiących...

— Dobrzy z was ludzie — pomyślał, nie spuszczając oka z gospodarzy. — Tylko wpadliście w podejrzane towarzystwo. Urżnęliście się w sztok, a jutro co? Znowu będzie bieda...

J. Kamiński: SWICEK, rzeźba w drewnie przedstawiająca pokutującego geometrę

KAZIMIERZ ZYGMUND

KRONIKA KULTURALNA

Kto zna Maurycego Klimeckiego — starszego pana z Łowicza, pracownika Rady Narodowej, bez którego udziału prawie żadna impreza nie może się odbyć w mieście, kto zna zapamiętałego zbieracza pieśni ludowych Krawczyńskiego z Sieradza, magistra Sosnowskiego, miłośnika spalskich lasów i Źródeł Niebieskich pod Tomaszowem, dzięki któremu je odpowiednio zabezpieczono. Są to rozmiłowani w swoich regionach ludzie, którzy narzucają klimat kulturalny swojemu miastu i chociaż nie dysponują budżetem — potrafią wiele dla niego uczynić. Czy znacie nazwisko przewodniczącej Miejskiej Rady Narodowej w Łowiczu — Walerii Gładkówny? Czym różni się ona od innych urzędników państwowych będących na tym stanowisku? Tym, że z całych sił popiera i pielęgnuje kulturę rodzimą.

Jest w województwie kilka miast powiatowych, które w dziedzinie rozwijania i pielęgnowania kultury ludowej rywalizują ze sobą o pierwszeństwo. Dawniej konkurowały ze sobą Piotrków, Łowicz i Sieradz. To są miasta z przeszłością, z historią, z tradycją. Od kilku lat przybył czwarty partner — Łęczyca, najmłodsze miasto górnicze, o którym coraz rzadziej mówi się jako o mieście dawnych sejmików, a coraz częściej jako o mieście rudy żelaznej.

I chociaż Łęczyca nie ma ładnych kawiarni, jak Piotrków, ani artystycznej piwnicy jak Zduńska Wola, ani przewodniczącej Rady Narodowej, takiej, jaką ma Łowicz — mimo tego staje się coraz poważniejszym konkurentem Piotrkowa, Łowicza i Sieradza.

Nie będę wyliczał ani kina panoramicznego, ani „Ziemi Łęczyckiej" — miejscowej gazety, ani Domu Kultury. Jest w Łęczycy zabytek z dawnych czasów — ruiny zamku, w których rozgościło się Muzeum Regionalne, którego kierownikiem jest pani Jadwiga Grodzka. Pani Grodzka jest w Łęczycy tym, czym Waleria Gładkówna dla Łowicza. Ona to wokół Muzeum skupiła kilkunastu twórców ludowych, głównie rzeźbiarzy. Łęczyccy rzeźbiarze zdobyli na konkursie rzeźby w skali wojewódzkiej,

Wacław Czerwiński: BORUTA UPOKORZONY PRZED GÓRNIKIEM, rzeźba w drewnie

cztery nagrody. Ich eksponaty wystawiono w Łęczyckim Muzeum.

Znajdują się tu prace rzeźbiarza Ignacego Kamińskiego z Oraczewa, w którym talent obudził się przed dwoma laty — akurat wtedy, gdy ukończył 72 lata. Jego „Świczki" i wielka galeria diabłów i duchów wzbudza uznanie. A zwłaszcza Boruta, którego Kamiński szczególnie upodobał sobie jako temat prac rzeźbiarskich. Jemu właśnie przyznano pierwszą nagrodę ufundowaną przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Są tu prace młodych rzeźbiarzy ptaków, z Wilczkowic: Andrzeja Dąbrowskiego i Jan Florczaka — oraz 10—12-letnich chłopców, którzy także rzeźbią ptaki. Trzeba powiedzieć, że ptactwo z rejonu łęczyckiego wywiera duży wpływ na sztukę ludową. W pamięci ludzi zachowało się sporo opowieści o ptakach. Powstają nowe, oparte na podpatrzeniu życia ptaków.

Łęczyckie Muzeum Regionalne odgrywa w życiu miasta i powiatu rolę, której może z powodzeniem pozazdrościć sporo placówek kulturalnych.

Do niedawna nikt nie wiedział w Łęczycy, że niedaleko od rynku mieszka kowal-artysta Morawski.

Nowo odkryty artysta-kowal wykonuje specjalne prace o dużych walorach artystycznych: popielnice, świeczniki, żyrandole. Jedna z jego prac — trzyramienny świecznik — została wysłana do Monachium.

Kustosz Muzeum — pani Grodzka — odkryła kowala o upodobaniach artystycznych, ale to nie wszystko. Trzeba teraz dać mu możność rozwijania talentu.

Dokończenie na str. 10

Tadeusz Papier

Łódź i prowincja

„Wielki świat" jest z pewnością w Łodzi, ale chyba nie w Kleszczowie, tak powiadają tamtejsi. czy mają rację? Kleszczów leży za borami, za lasami, nie dochodzi tam kolej, nie ma teatru, kina, kawiarni to zwyczajna wieś. „Wielki świat" jest nie tylko w dalekiej Łodzi, twierdzą w Kleszczowie, Łódź jest otoczona wieńcem miast i miasteczek, powiązanych z nią gospodarczo, to są jakby przedmieścia Łodzi, najdalsza granica „wielkiego świata" to fabryki bełchatowskie," niektórzy przesuwają ją tuż za Bełchatów, do sąsiednich Grocholic. Z Grocholic żyją okoliczni chłopi, tkają samodziały, które sprzedaje się za granicą; trzeba pamiętać przecież i o tym, że Grocholice są starą miejscowością, były miastem już w 1485 roku.

Ale za rogatkami Grocholic, które dziesiątki lat rywalizują z Bełchatowem, kończy się na pewno „wielki świat", dalej już nie warto jechać, nawet przewodnik po województwie nie widzi nic ciekawego, radzi zawrócić do Bełchatowa, by zwiedzić jeszcze co najwyżej Postękalice, w których znajduje się drewniany kościół z osiemnastego wieku oraz dzwon wykonany w 1752 roku przez krakowskiego ludwisarza Jana Waignera. Więc tu, na południe od Łodzi, sięga najdalsza granica „wielkiego świata"?

Co znajduje się za Grocholicami, nic, odpowiadają w Kleszczowie, dalej są lasy: sosnowe lasy ciągną się wzdłuż rzeki Widawki, giną za horyzontem, można nimi zawędrować do Radomska, do Przedborza, w opoczyńskie, w lasach są dziki, mnóstwo dzików, za lasami jest Kleszczów.

Przyczyny, dla których można się zainteresować Kleszczowem, leżącym, mówiąc językiem gazetowym, na głuchej prowincji, są równie różnorakie i złożone, jak przyczyny, dla których ludzie z „wielkiego świata" osiedlają się poza granicami tego świata, na „odludziu", na pustkowiu „zabitym deskami". Można tu w pierwszym rzędzie wymienić motyw społecznikowstwa typu bardzo przestarzałego, istotnie, w Kleszczowie czy pobliskim Łękińsku spotyka się z tego rodzaju zjawiskami, są nauczycielki i nauczyciele, którzy od czterdziestu lat pracują na wsi, ale to spostrzeżenie nie wyczerpuje zagadnienia. W każdym razie przyczyny osiedlania się inteligencji zawodowej, nauczycieli, lekarzy na dalekiej wsi są trudne do ustalenia, trudniejsze niż na przykład w Bełchatowie, który należy do rzędu miast funkcjonalnie i organizacyjnie powiązanych z Łodzią, stanowi nie tylko jakby odbicie swojej centrali, przedmieście, powiedzieliśmy, ale jest pod jej urokiem, wpływem, ludzie tu osiedlający się, inżynierowie, nauczyciele żyją inaczej niż na wsi. Grocholice są równie ciekawe, nawet tematycznie, ale za Grocholicami rozciąga się puszcza. Jeszcze stary, drewniany kościół z Woli z piętnastego wieku, który stoi poza wsią, prawie w lesie, przyciąga swym starym, osobliwym urokiem, przyjeżdżają tu od czasu do czasu wytworne samochody, najczęściej z Warszawy, miejscowy proboszcz kojarzy zakochane pary, ale to są już zagadnienia — powiedzmy — turystyczne, im dalej w las, tym sprawa wygląda bardziej kłopotliwie.

Kleszczów, powiadają tamtejsi, jest taką samą wsią jak tysiące innych, nudną, szarą, jak inne, ciekawą jak inne, nie chodzi o różnice fizyczne, każda miejscowość ma swoje charakterystyczne cechy. Kleszczów również je posiada, podróżny przemierzający wsie naszego województwa różnice te z pewnością uchwyci. Mówiąc o małych miejscowościach, wsiach, osiedlach z rzędu „zagubionych", zastanawiamy się, jaka ona jest — piękna, urocza, ciekawa, czy brzydka i szara. Ale piękna czy brzydoty miejscowości nie ograniczamy do wyglądu zewnętrznego, do opisu chałup, wyróżniających się domów, pól. O Kleszczowie trzeba by powiedzieć, że jest piękny, takie jest pierwsze wrażenie, miejscowi nie zaprzeczają, lecz „pogłębiony problem" tej wsi leży gdzie indziej, leży w ludziach, nauczycielu, kierowniczce szkoły, miejscowym pracowniku rady gromadzkiej, milicjancie. W tym szkiełku Kieszczów jakby się rozszczepiał, z jednej strony widzimy rysunek, piękny rysunek prowincjonalnej wsi, widzimy ludzi, ich konflikty, nieraz melodramatyczne, nieraz poważne, życie to jest ciekawe, dostrzegamy jego wagę, kiedy się tam zjawimy; ale wieczorem wracając do Łodzi, kiedy już z daleka wita nas szeroka luna świateł, tamten świat w Kleszczowie mały, zagubiony, za lasami, wydaje nam się obcy, niechętnie wracamy do niego, znamienne, że tego rodzaju akcenty pojawiają się na przedmieściach Łodzi.

Mała atrakcyjność życia na wsi nie przyciąga, to prawda. charakterystyczne na przykład są liczby kandydatów na studia rolnicze pochodzących ze wsi. W ostatnich latach liczba ta w naszym kraju maleje, w roku 1956 wynosiła 2.415 osób, a w 1958—1,280, przy czym najskromniej wypadały zgłoszenia na wydziały rolne. Niechętnie wybierają się na prowincję młodzi lekarze, inżynierowie, któż więc nie ucieka przed wyjazdem w tzw. teren, kto nie ulega mechanicznie naciskowi opinii, kto wyrzeka się dobrowolnie uroków miasta, kto zamieszkawszy na wsi, nie izoluje się od niej wewnętrznie, nie ucieka, na te pytania nie sposób odpowiedzieć w jednym zdaniu, do tej kategorii ludzi, którzy nie boją się prowincji, należą niektórzy nauczyciele, ale nie wszyscy, tylko część.

To umyślne „uprowincjonalnienie" życia na wsi robi wrażenie niezmiernie przygnębiające. A bierze się z naszej niewiedzy i braku rozeznania. Przecież i sami kleszczowianie powiadają, u nas nie ma „wielkiego świata". Z jednej strony mamy tu ludzi, którzy, pozbywszy się tradycyjnych konwencji życia na wsi, doszli jakby do granic „wielkiego świata" i chociaż nie noszą wąskich spodni, modnych swetrów, nie siedzą w cepeliowskich fotelikach, pytają o halasy Europy, pasjonuje ich to co nas — sytuacja w Afryce, literatura chcą wiedzieć co się dzieje w kraju.

Z drugiej strony rzeczywista presja nudnego wieczoru jesiennego i długiej nocy zimowej bez telewizora, teatru, z nieciekawą książką, zmierza do odbarwienia życia i umieszcza je w ramy mechanicznych szufladek, takie samo rano, takie samo południe, taki sam wieczór, taka sama noc. Ale trudno jest wychylić się z granic tego świata. Ale trzeba się wychylić, jedźcie do Kleszczowa, rozmawiajcie z ludźmi, odwiedzajcie nauczycieli, wiele można się od nich dowiedzieć. Na ognisku nauczycielskim w Kleszczowie obradowało ostatnio 50 nauczycieli i przedszkolanek, rozmowa z tymi ludźmi, którzy żyją z dobrej woli lub nakazu pracy na wsi, odkrywa wiele. Nie tylko wybitni koneserzy z centrów kulturalnych mają dwa widzenia rzeczywistości, prosty człowiek również posiada ten dar podwójnego widzenia rzeczy i spraw. Jest widzenie bezpośrednie, które najczęściej odkrywa życie w jego surowym wyrazie, to właśnie prowincjonalne, o przewadze barw ciemnych i w ten sposób patrzymy z Łodzi na daleką wieś. I jest widzenie drugie, ale już bez tych nadprzyrodzoności, bez fetyszów prowincji, bez magii wsi deskami zabitej, nieruchomej od wieków, beznadziejnej.

Z tego drugiego punktu widzenia, życie w Kleszczowie wykazuje szczególnie interesujące walory. To nie jest życie zagubionej prowincji, to nieprawda, studiujcie zainteresowania tamtych ludzi, w tych zainteresowaniach odbija się „wielki świat", odbijają się jego sprawy, to jest życie „wielkiego świata", choć bez neonów, ale nie bez radia, jeszcze bez telewizji, ale nie bez książki i dyskusji, życie „wielkiego świata" dzięki klimatowi społecznemu, dzięki niektórym nauczycielom, czasem agronomowi, bywa — pracownikom rady, a i dzięki setkom działaczy, których wielka Łódź wysyła nieustannie w teren, również do małego świata w Kleszczowie. Nie ma więc granic „wielkiego świata", a w każdym razie rozpływają się one powoli i giną z każdym rokiem.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

Do poetki Młodej Polski

„Raz jeszcze wszystkie, pogasłe w ukryciu,
Perły mej duszy tęczowo zapłoną".
(Kazimiera Zawistowska),

Rozpada się, tęcząc w strof obrotach, sonet
I suchym płatkiem róży przez epoki sypie.

Perły twej duszy, Pani, morzu są wrócone.
Uśmiech trwa poza czasem na dagerotypie.

O sexie nic nie powiem. Ciało pulsujące,
Poza strofą, krył kostium gramatyk wytwornych.

Nie opiszę, dziś mogąc, twoich piersi śpiących.
Czas przeszły jest więzieniem. Ta wolność pozorna!

Lecz sonet, trapez w koło wpisany języka,
Niech w siedmiobarwną perłę wzruszeń nie zamyka.

Pani, nowa jest składnia i uczuć mimikra.
Sonet, więc lekcja. Zmierzy swą logiką zmiany

W logice gestu, z włosów krzeszącego ranek.
Twój gest już nie jest twoim. Ja wiem, że to przykre.

Zbigniew Morsztyn wraca z Warszawy do Królewca

(Wiosna 1661 r.)

Słyszał kaszel w ciemności. To książe Herakliusz
W stalowym pudle przywiózł z madryckiego dworu

Mądrego pawia. Własną krwią go tuczył.
A imię pawia Czas. Herakliusz był diablem.

Tak mówiono. W pałacach piekielne zapadnie,
Jak pułapki na myszy, trzaskały pod stopą.

Dom jagielloński był mieszkaniem szczurów.
I kuzyni w koronkach polowali nocą

Ze świecą i z trutkami. Lecz już się zbierały
Ogniste wiatry. Wiedział, te pałace

Strawi płomień i kości bezdomne zaskrzeczą,
Późny wnuk grudkę żużlu zabierze odchodząc.

Poeta tego miasta na pławskich łąkach
Będzie siwy i bosy ptaki kijem gonił

Albo w kufrze z wierszami za morze popłynie;
On zawsze, bo tak każą, Podskarbim Korony.

Kiedy Muzą w Rytwianach jest kuchenna dziewka.
Nie tego pragnął. Nad dachem Rudówki

Erato była ptakiem, krzyczała w listowiu,
I księżyc mądrych Greków blask rzucał na kartę.

Tam, powracał. Tam, w stuku sekretnych zegarów,
Pisał wiersz, krew z krwi Czasu. Cło brano, jak trzeba

(Tamten rzeźnik z Nadrenii też, nie wiedząc, płacił).
Tam diabły leśnych jezior w pas mu się kłaniały;

Był poetą, to znaczy aniołem przebranym.
Tam, słuchając jak grają arfy i wijole,

Pierwsi rodzice ludzi brodzili w gęstwinie.
To tylko, co wiersz skłamał, mogło ich ocalić.

Objaśnienia

Książę Herakliusz — Stanisław Herakliusz Lubomirski był na dworze Filipa IV wczesną wiosną 1661 r.

Kości bezdomne zaskrzeczą... — ....książęta Radziwiłłowie nowymi racyjami odradzali królowi abdykacyja królestwa, za niegodną bowiem rzecz mieli, aby król (...) do cudzych krajów przeniósszy się kości swoich Ojczyźnie żałował". Zbigniew Morsztyn: „Żywot Jaśnie Oświeconego Książęcia Imci Bogusława Radziwiłła".

Na pławskich łąkach... albo w kufrze z wierszami... — los Trembeckiego i innych.

Muzą w Rytwianach... romanse Jana Andrzeja Morsztyna są szeroko znane.

Nad dachem Rudówki... — nieścisłość, zawiniona przez autora. Rudówkę otrzymał Morsztyn od Fryderyka Wilhelma dopiero w roku 1663.

Rzeźnik z Nadrenii — przodek rodu Morsztynów.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

Ludziki z plasteliny

Jeśli niektórzy pedagogowie zajmują się czymkolwiek innym poza płakaniem ze szczęścia — bardzo im się dziwię. Ci spośród zawodowców w tej dziedzinie, jako też amatorów: rodziców, wujciów z zacięciem, przypadkowych wychowawców ulicznych („podnieś szczeniaku ten papierek"), którzy uważają, że cnoty młodzieży są cnotami plasteliny (tym jest ona „lepsza", im łatwiej daje się ugniatać) winni znajdować w aktualnych wyrostkach wszechideał młodzieżowy wszystkich czasów. Z tym bowiem ciastem żda się można wszystko — nawet od razu piec pierników.

Na powyższe zaświadczonko mam podkładkę ubożuchną, ale zawsze. Wydział Szkolny KW ZMS zadał trzystu uczestnikom obozu szkoleniowego kilkanaście pytań na piśmie, łącznie nazwanych ankietą. Gdy czyta się odpowiedzi, człowiekowi się zdaje, że nagryzmoliły je dzieci w wieku 10 — 14 lat. A tymczasem deklarują one, że osiągnęły już 17 — 19 rok życia.

Jak wiem z lektury i autopsji, jest to wiek, w którym dominuje poczucie dorosłości, kompleks dorosłości. Reguła ta wśród gwałtownie została zachwiana. Bo oto pytanie o flirty szkolne. Jedni mówią, że i owszem, drudzy, że raczej nie tego, bo my jeszcze tacy niedojrzali, a niektórzy respondenci chcą flirtować warunkowo: jeśli profesorowie nie będą mieli nic przeciwko. Przewiduję tedy gwałtowny spadek przyrostu naturalnego w najbliższych latach: profesorowie programowo nie cierpią tych rzeczy...

Milusińscy deklarują, że na zebraniach, to najbardziej lubią politykę. Może i lubią, a może mniemają, że taka miłość polityce się należy. Ale z lektur, to upodobali sobie kryminały. No i tego trochę Maya i Sienkiewicza.

Za moich, panie dzieju, czasów Mayosienkiewiczów diabli brali wraz z ukończeniem latek czternastu, zaś kryminały w tym wieku przestawało się właśnie czytać. Oczywiście po to, żeby do nich wrócić po pięciu latach. Gwoli wyjaśnienia — moje czasy były kilka lat temu, czyli gdzieś między lodowcem a odsieczą Wiednia.

Autorzy ankiety proponują swoim milusińskim dużą sumę pieniędzy, przynajmniej na papierze, w zamian za deklarację, co z nią zrobią. Tu nic oryginalnego — sama normalność: samochód i podróże. (Autorów ankiety bardzo ubodło, że pupilkowie nie chcą za tę forsę dokarmiać siostrzyczek a co najgorsze nie chcą jej wpłacać na tysiąc szkół. Skoro tak, autorzy ankiety mogli od razu nadmiary gotówki wpłacić na zbożny cel. Po co męczyć dzieci pokusami?)

Ale ankietujący ofiarowali swoim respondenciątkom nie tylko grubszą gotówkę, ale i posadki przewodniczących rad narodowych. Na pytanie „co byś zrobił, gdybyś był", czyli co byś zrobił z władzą, gdyby takowa ofiarowano ci w prezencie — wyrostki nie wychodzą poza ideały wzorowych dyżurnych klas I-a „pilnowałbym czystości, zakładał zieleńce" itd., ani poza wyobrażenia dyżurnych z I-a, o świecie: „zlikwidowałbym pijaństwo", „wytępił łapownictwo", „wybudowałbym dla wszystkich domy".

Uczono mnie, że wyrostkowi świat jawi się jeszcze bardziej skomplikowany, niż w rzeczy samej jest. Widocznie już się nie jawi. Albo też jawi się w postaci ładnego miejskiego skwerku okolonego willami, po którym chodzą trzeźwi obywatelkowie reprezentujący organiczny wstręt do przyjmowania łapówek. Wysokie domy i moralność wyrosły w drodze perswazji. Ideałem urządzenia świata jest wyfroterowanie mu podłogi, a pasja sprawowania władzy kończy się na utrzymaniu tej posadzki w porządku. Nic światoburczego, nic przekornego, nic wychodzącego poza higieniczny minimalizm. Żadnego marzenia i myślątka.

Za to słynnych ludzi znają respondenciątka mnóstwo. Co najmniej dziesięciu: od Eisenhowera do Połomskiej, od Kopernika do Basi Kwiatkowskiej. Po pani Callas jest tam i pan „Colesow" — dzwonek z nie znanego kościoła umiejscowiony ortograficznie na szczycie minaretu.

Nic tedy dziwnego, że 80 procent spośród nich chce studiować i zdobywać zawód — głównie oficera marynarki, dziennikarza i prawnika. To jest oczywiście taki, gdzie nie trzeba nadwerężać myśli, a także taki, który znany już jest z lektury „Świerszczyka". Coś tylko nurek, lotnik i dorożkarz wyszli z mody.

Aby oddać pokłon epoce, czyli temu, czego w niej w dziedzinie szkolnowypracowankowych deklaracji od milusińskich się oczekuje — bąkają oni i o lotach kosmicznych. Kupienie sobie rakiety i podróż na Księżyc jest ulubionym milusińskich pragnieniem. Nie masz bowiem atrakcyjniejszego miejsca na Ziemi jak Księżyc. Czyli tyle im jeszcze z człowieka zostało, że trochę łgać umieją. Ale czy to jest poziom?

Koegzystencja Rodziewiczówny i polityki, chuci samochodowej i wiedzy, przekonania, że nieładnie jest dobierać się do dziewczynek z umiłowaniem kwietników i zadowoleniem z ładziku tego świata jest tak doskonałe, że jeszcze trochę, a niemowlęta zaczną się nam rodzić w zarękawkach. Wszystko ślicznie jest poukładane: tu kryminałek, tam kopanie ogródka w czynniku społecznym, tu obrzydzenie do łapownictwa, ówdzie zamiłowanie astronautyczne, a i kurs motorowy też mogą skończyć. Nieba w płomieniach to tu nie ma. Nic zresztą dziwnego, skoro ma się świadomość, że dzieciom nie wolno bawić się zapałkami.

Cała ta papka tak jest plastelinowata, że naprawdę dowolnie można ją lepić. Podrzucić hobby zbierania nocniczków? Wchłonie. Dodać umiłowanie podlewania ogródków — chwyci. Odebrać kryminałki — grzecznie je spalą. Najgorsze jest tedy tylko to, że z plasteliny lepić można co prawda stwory o dowolnych kształtach, ale w swej substancji pozostające wszakże plastelinowymi.

* * *

Wszystko, co napisałem wyżej, to święta prawda, albowiem w ogóle nie istnieje karykatura nieprawdziwa. Jeśli coś jest karykaturą — jest też prawdą, jakież bowiem istnieją kryteria prawdy lub nieprawdy dla deformacji?

Młodzieżową kliszę można wszakże wywołać nie w kwasie, ale w innej, nie jadowitej substancji. Wtedy i odbitka będzie inna. Można naonczas rzec, że trwały infantylizm jest pewnym zwycięstwem epoki, nie wymagającej już i nie powodującej przedwczesnej dojrzałości. I że ów eklektyzm dóbr i wartości konsumowanych oznacza brak zasklepienia się, postawę szeroko otwartych drzwi wobec wszystkiego, co niesie świat, brak zacietrzewienia i łagodny liberalizm. Dalej, że o ile potrzeby epoki kształtują pokolenia, przystosowujące do niej swoje psychiczne mundury jak kameleon barwę skóry — to właśnie nasza epoka i jej potrzeby rodzą nie pokolenia buntu i poszukiwań, nie tych, którym niebo jawi się w płomieniach i radych przyłożyć tam i swoją zapałkę, ale gospodarzy, ale spokojnych konstruktorów świata, miłośników urządzania go w ładzie i na kolorowo.

Ale i ta odbitka rozczarowuje. Utrwalacz zachował bowiem ów drażniący rys infantylizmu. Respondenci wchodzą w uporządkowany świat z dobrą wolą do miotły i szmaty do podłogi, uzbrojeni w najbardziej ogólnikowe wyobrażenia o swoim w nim miejscu. Siedemnastolatki i dziewiętnastolatki nie zadały sobie jeszcze trudu wyboru zawodu ponad chętki marynarskie wieku przedszkolnego. Nie przebiją z ich pouśmiechanych słówek nawet ta minimalna dążność do zaatakowania kluczowych dla przyszłości świata profesji matematyczno - technicznych. Nawet chęć przepchania się łokciami ku pozycjom satysfakcjonującym i ważącym. Przyszła ich pozycja w życiu jawi im się w minimalistycznym zarysie: „robić coś pożytecznego" — czytaj cokolwiek. Wzorzec osobowy to „nie pić i nie kraść" — może — ratować bliźniego z topieli. Czynnik samooceny: „Nie nadaję się do tego lub owego i siego. Może jak starsi mnie wychowają, to nadam się do czegokolwiek" I proszę — nastało pokolenie nie atakujące nas łokciami, które się nie pcha.

Czyż nie jest to już ostateczny ideał dla pedagogiki plastelinowej?

Ale się nie martwmy. Albowiem współczesna technika potrafi nawet elektronowe mózgi oprawiać w plastelinę. Wierzmy, że dokona tego wyczynu również z mózgami zwykłymi.

JACEK LEBEN

Na Kopernika - wieża Babel

Na liniowanych kartkach egzaminacyjnego papieru pieczątka: **Uniwersytet Łódzki Studium Przygotowawcze** w zakresie języka polskiego dla Obcokrajowców.

Prócz tego znaki czerwonego ołówka. Takie same jak na milionach innych kartek w tysiącach innych polskich szkół. Te wypracowania pisali po polsku mieszkańcy Togo i Kamerunu, Somali i Indonezji, którzy przed rokiem zetknęli się po raz pierwszy nie tylko z mową polską, ale ze śniegiem i z sosną.

Pozwolisz Czytelniku, że zanim złożę ci własną relację o zagranicznych studentach uczących się w Łodzi języka polskiego, przedstawię Ci wyjątki z ich własnych prac egzaminacyjnych. Oto one **(bez żadnych poprawek).**

Pisze Daniel Voley z Haiti:

„Przed moim przyjazdem do Polski mało słyszałem o niej, ale podczas mego nauczania się języka polskiego dużo już się dowiedziałem...

Co do ustroju politycznego mimo, że jeszcze mało wiem o tym byłem naprawdę wzruszony kiedy porównałem co słyszałem i czytałem na Haiti, a co widzę własnymi oczami..."

Sylla Mamadou z Gwinei pisze na temat „Co słychać w świecie?"

„Codziennie kupuję gazety francuskie. Staram się czytać też gazety polskie, bo to bardzo korzystne dla mnie. Interesuję się polityką, sytuacją krajów ogólnie i w szczególności mojej ojczyzny Afryki"

Po wyliczeniu wielu wydarzeń zachodzących w świecie Mamadou pisze:

„Nadzieja powstaje wszędzie. Ta wojna algierska która trwa pięć lat, czy ona dąży do końca?"

„Jeszcze znajdujemy się daleko od celu. Przeciwnicy przygotowują się do kontrataku" — pisze L'Humanite.

Prezydent de Gaulle jeszcze nie jest przekonany, że Afryka jest nowa i dojdzie do wolności, ale już nie jest w stanie powstrzymać ludzi z krajów Afryki na drodze do wolności.

Jak widać świat nie jest spokojny. Możemy najpierw zanotować, że imperializm i kolonializm powoli dojdzie do śmierca. Przyjaciele Stanów Zjednoczonych znikają (Syngman. Rhee, Menderes wkrótce Kishi). Wspólnota francusko-afrykańska już prawie nie istnieje.

Dopóki miliony ludzi będą żyły w niewoli pokój nie będzie panować na świecie" (Ocena: bardzo dobrze).

Al Tikriti Khalid Hilal pisze na temat: „Irak dawniej i dziś":

„...Obecnie Irak jest państwem demokratycznym...

Rząd iracki zabrał część ziemi obszarnikom i rozdzielił ją między małorolnymi i bezrolnymi chłopami. W Iraku jest inaczej niż w Polsce, ponieważ rząd iracki nie przeprowadził nacjonalizacji przemysłu, transportu i banków...

Po rewolucji naród iracki żyje w lepszych warunkach. Chłopi i robotnicy mogą należeć do organizacji zawodowych. Kobieta iracka otrzymała prawa. Może się uczyć i pracować w każdym zawodzie i obejmować najwyższe urzędy w państwie. Naród iracki rozwija tak jak powiedział premier Kasem „My nie chcemy, żeby bogaci stali się biednymi, lecz by wszyscy biedni zostali bogatymi".

(Ocena: b. dobry).

Pisze Tjiptadi z Indonezji na temat „Moja ojczyzna dawniej i dziś":

„...Prawie aż do końca drugiej wojny światowej Holendrzy sprawowali władzę w Indonezji. Zanotowaliśmy, że kolonializm holenderski w Indonezji trwał przez 350 lat. Nieprzerwanym strumieniem płynęły zyski z eksploatacji skarbów Indonezji do Holandii. Kilka lokalnych powstań brutalnie zdławiono. Naród indonezyjski bardzo cierpiał wtedy. Więc nie ma innego sposobu dla narodu indonezyjskiego niż zjednoczyły się i walczył przeciw kolonializmowi holenderskiemu... Dwa dni po kapitulacji Japonii proklamowali niepodległą republikę Indonezji... aż do dzisiejszego dnia ekonomia Indonezji jest zależna od systemu kapitalistycznego. Stosunki z krajami socjalistycznymi dopiero zaczęły się niedawno".

(Ocena: Bardzo dobry).

* * *

Skromny budynek przy Kopernika 55 przypomina przysłowiową wieżę Babel. Młodzi ludzie kręcący się po korytarzach w czasie przerwy mówią po angielsku, francusku, arabsku, hiszpańsku, chińsku... Niektórzy już próbują mówić po polsku. Uczą się polskiego dopiero od kilku miesięcy czy tygodni.

Ośrodek istnieje od 1951 roku. Należy do niego podstaw języka polskiego, co umożliwiło im studia na polskich wyższych uczelniach. 600 studentów ponad 30 krajów świata. Z Korei, Chin, Wietnamu, Indonezji, Algieru, Mali, Togo, Gwinei, Kamerunu, Iraku, Iranu, Afganistanu, Nepalu, Indii, Cejlonu, Brazylii i z wielu innych krajów.

W tej chwili uczy się w Studium 60 studentów. Ze wszystkich stron świata. M. in. po raz pierwszy dzieci polskich emigrantów ze Stanów Zjednoczonych, Szkocji i Belgii.

Są wśród nich stypendyści Zrzeszenia Studentów Polskich, Międzynarodowego Związku Studentów, ONZ. Niektórzy są stypendystami rządu polskiego. Sporo jest takich, którzy sami opłacają koszty swojego pobytu i nauki.

Po rocznym pobycie rozjeżdżają się na uczelnie w różnych miastach Polski. Afrykańczycy idą przeważnie na medycynę lub ekonomię. Nic dziwnego, nie ma w niedawno wyzwolonych krajach rozwiniętego przemysłu. Niektórzy jednak uczyć się teraz w ławkach szkolnych języka polskiego wybiegają myślą w daleka przyszłość swego kraju.

Dillo Usman z Mali zamierza studiować mechanikę. Mousa Youssif Abobaker — elektronikę, Sabjiti Coomar Chatterje z zachodniego Bengalu — metalurgię. Antonio Estevam de Li A Sobrinho — fizykę nuklearną, Mohamood Abdi Mohamed z Somalii będzie studiował filologię słowiańską. Twierdzi, że jest zakochany w wielkiej romantycznej literaturze. Zna angielski, ale pragnie poznać również literaturę słowiańską. Czytał już w angielskim tłu-

(Dalszy ciąg na str. 10)

Dr Jan Kulak podczas wykładu

Foto: Leon Olejniczak

NOWE „SYRENY"

mają listwę ozdobną z boku i jaśniejszego koloru dach. Gdyby ich kolory były przyjemniejsze, wóz ten prezentowałby się obecnie całkiem okazale. Nadchodzące ostatnio „Syreny" do łódzkiego „Motozbytu" są już z nowej serii.

„I NOWE „MOSKWICZE"

Zmiany w „Moskwiczach" są niewielkie: zmieniono bowiem osłonę wlotu chłodnicy i kształt tylnych świateł, ale wóz dzięki temu zyskał na wyglądzie. Wydaje się niższy i szerszy.

SPRZEDAŻ SAMOCHODÓW OSOBOWYCH W ROKU 1961

Zmieniono zasadniczo sposób rozprowadzania samochodów osobowych z puli rynkowej w roku 1961. Cała ilość samochodów osobowych, przeznaczona do sprzedaży w roku przyszłym na terenie miasta Łodzi i województwa łódzkiego została postawiona do dyspozycji przewodniczących prezydiów rad narodowych: m. Łodzi i województwa. Ustalony system przewiduje składanie podań osób zamieszkałych na terenie m. Łodzi do Wydziału Handlu Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi (ul. Piotrkowska 104), osób zamieszkałych na terenie województwa łódzkiego — do wydziału Handlu Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej (ul. Ogrodowa 15). Podania, odpowiednio umotywowane i poświadczone, opatrzone znaczkami opłaty skarbowej (10 zł od podania i 2 zł od każdego załącznika) winny być wniesione do 15 stycznia 1961 roku. Samochody importowane (Wartburgi, Wartburgi de Luxe Skody Octavie 440, Skody Octavie Super 445 i Moskwicze 407) będą sprzedawane wyłącznie za gotówkę, samochody krajowe (Syreny i Warszawy) za gotówkę i na raty.

„ODGŁOSY" — „KĄCIK CZTERECH KÓŁEK" XXXV A

Osoby, które otrzymają zlecenie na zakup samochodu będą musiały uiścić cenę kupna samochodu (przy zakupie gotówkowym) wzgl. pierwszą ratę należności (przy zakupie ratalnym) w ciągu siedmiu dni, licząc od daty wydania decyzji, na konto „Motozbytu". Wpłaty te nie będą oprocentowane. Samochody będzie „Motozbyt" wydawał w ciągu całego roku 1961, w miarę otrzymywania transportów.

WIESŁAW MACHEJKO

Polerowanie PERŁY TATR

Zakopane. Perła Tatr. Jedna z najpiękniej położonych miejscowości turystycznych i wypoczynkowych. Miasto, o którym wie w Polsce każdy, a conajmniej połowa jej mieszkańców go odwiedziła. Miasto o którego losy, i przyszłość od początku niemal toczy się wielka batalia.

Zagubioną w borach Skalnego Podhala wioskę do połowy ubiegłego wieku odwiedzali tylko nieliczni podróżnicy i badacze. Pierwsi letnicy zaczęli tu zjeżdżać w 1850 roku, ale właściwy rozgłos zdobyło Zakopane dopiero wówczas kiedy znany lekarz Tytus Chałubiński odkrył zdrowotne właściwości Zakopanego. W roku 1873 powstało Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, które pierwsze podjęło walkę o rozwój tej miejscowości, o jej propagandę. W roku 1899 wyruszył z Krakowa do Zakopanego pierwszy pociąg kolei żelaznej. Podróż trwała tyle samo co dzisiaj... Ale Zakopane rosło. Chaotycznie, bez jakiegokolwiek planu stawiano wille, pensjonaty i sanatoria obok obór i stajni. No i takie je mamy do dziś.

Budują jakieś trzy, cztery wille na Krupówkach. Jest to pomysł haniebny i łajdacki, aby psuć idealną swojską sylwetkę zakopiańskiego corsa przez stawianie domów wyciągniętych pod linię. Domy takie odstraszać będą krowy i owce, które bardzo lubią spacer po Krupówkach. ...Wszystko to tworzy całość tak rozmaitą, zdobną w schodki, werendy, słupki, daszki, wygięcia, przegięcia, chorągiewki na dachu, oberwane gonty, wykrzywione okna, że oczu nie można oderwać... Każdy to zna, każdy to widział sto razy, ale nikt nie umie odczuć wichrowatego piękna zakopiańskiej city. *)

Miało Zakopane swój złoty wiek, który wspomina do dziś. Wiek ten pozostawił szczegółowe zapiski w postaci choćby tylko księgi Hoesicka, czy „Listów z Zakopanego" Kornela Makuszyńskiego które tu obficie cytujemy. W gromadzie tych jarmarcznych bud, w płataninie góralskich podwórek, na werandach przydymianych słońcem will i pensjonatów śladywał Boy-Żeleński, Szymanowski, Witkiewicz uważany za twórcę stylu zakopiańskiego, Kasprowicz, Tetmajer, Karłowicz, Orkan. Kogo tu w końcu nie było! W latach międzywojennych Zakopane stało się Mekką ludzi sztuki i ich mecenasów. Perła Tatr była miejscowością drogą i ekskluzywną. Wiele z tych cech pozostało jej do dziś. Nie jest tylko może Zakopane ekskluzywnym kurortem, a w sprawach „by tu" zapowiedziano tu generalne porządki. Dotąd było tak jak przed bez mała 40 laty:

Przychodzi z gór w nocy, około jedenastej, zmęczony jak sto psów i chce jeść.

— Nie ma nic! Kuchnia zamknięta.

— W takim razie proszę o chleb i szynkę.

— Chleba nie ma, szynki nie ma.

— Proszę o butelkę porteru.

— Porter wydaje się tylko rano od pierwszej do drugiej.

— O!... O!

Gość ma łzy w oczach i chce zwariować z rozpaczy, potem obiecuje małżeństwo usługującej panience, wreszcie odchodzi cicho łkając. Dostał jednak słuszną nauczkę, aby wiedział raz na zawsze, że w Zakopanem nikomu na gościach nie zależy bo tego tałatajstwa jest tyle, że zawsze wystarczy.

Możesz tylko usiąść na gołoledzi, wziąć bryłę lodu w rękę i tłuc się po głupim łbie i, rzewnie płacząc możesz mówić sam do siebie:

— A dobrze ci tak idioto!

Kto ci kazał jechać do Zakopanego...

Teraz ma być inaczej. O tym jak będzie opowiemy. Tymczasem przyjrzyjmy się liczbom. Okazuje się że są tu ludzie, którzy wszystko liczą. I dobrze robią, bo w ten sposób możemy spojrzeć na Zakopane nie od strony gór a od strony podszewki.

W roku 1918 przebywały tu na letniskach bądź na leczeniu 9.343 osoby. W 1928 — 42.968, W 1938—58.011. W 1946—300.000, a w roku 1958—1.000.000!

W ciągu ostatnich trzech lat w domach wypoczynkowych Zakopanego podległych Zw. Zawodowym spędziło urlopy ponad 72 tys. robotników i pracowników umysłowych, 7 tys. dorosłych i dzieci leczyło się w sanatoriach przeciwgruźliczych. Nie mówię już o setkach tysięcy turystów którzy przewinęli się przez campingi i domy turystyczne oraz schroniska.

Sądzę, że liczby te są pasjonujące. Pozostańmy przy nich jeszcze przez chwilę. Oto w roku 1955 przyjechało do Zakopanego 187.141 samochodów i motocykli. W roku 1957 — 373.343! Na soboty i niedziele w lipcu 1955 roku przyjeżdżało do Zakopanego ponad 3.500 samochodów i motocykli. W roku 1959 ponad 6.000

Przytoczone dane wskazują z jednej strony na stały wzrost zainteresowania Zakopanem wśród szerokich rzesz turystów, z drugiej na charakter tego ruchu, którego cechą główną jest „przepływowość masy ludzkiej", jak to lapidarnie określa statystyka. Ten aspekt musi być brany pod uwagę, gdy mówi się o generalnej przebudowie i rozbudowie wielkiego ośrodka turystycznego, leczniczego, wypoczynkowego i sportowego Zakopane-Podtatrze.

Właśnie o tej rozbudowie. O nadanie Zakopanemu charakteru uzdrowiska i centrum sportów zimowych, wyposażeniu w urządzenia tak elementarne jak wodociągi, drogi, linie elektryczne. Chodzi też o dogodną komunikację, o planową zabudowę, o sieć urządzeń socjalno-komunalnych. Walczyli o nie przez długie lata entuzjaści Zakopanego. Fragmenty „Listów z Zakopanego" Kornela Makuszyńskiego, który ostatnie lata swego życia i jego większą część spędził w willi „Słońce" do ostatnich niemal dni zachowały swą aktualność.

Wszyscy strasznie kochają Zakopane, ale od święta, na codzień zaś nikt nawet nie wspomni o mizerocie, za to wszyscy czynią wrzask, że taka wspaniała miejscowość jest odarta, że świeci Gubałówką...

Pytanie: A kto jest mianowałnym wrogiem Zakopanego?

Odpowiedź: Rząd.

Pytanie: ???

Odpowiedź: ...Gdy przyjedzie jaki zagraniczny gość, wiezie się go czym prędzej do Zakopanego, gdzie gość rozdziawia paszczę i powiada, że tak pięknego stworzenia na świecie nie widział. Wszyscy są dumni, a biedne Zakopane jest szczęśliwe, myśląc sobie, że jeżeli takie oddaje, przez swą niezrównaną piękność usługi, to pewnie jutro dostanie za to nagrodę, jakieś wodociągi, kanalizacje, albo dom zdrojowy, albo regulacje, tymczasem jutro dostaje figę na jodłowym patyku...

Makuszyński nie dożył czasów kiedy jego płomienne apele znalazły posłuch i realizację. Na zakopiańskim cmentarzu zasłużonych spoczął w roku 1953 pisarz, który wierzył, iż kiedyś nadejdzie czas, i Zakopane zostanie odkryte na nowo. W roku 1921 pisał:

Uśmiechnijcie się do mnie, zakopiańscy ludzie: wyczytałem w gwiazdach, że szczęśliwość wielka zlata na Zakopane, a miłość ludzka je napełni.

Ten czas nadszedł ostatecznie w chwili gdy Rada Ministrów PRL podjęła w roku 1955 uchwałę o rozbudowie Zakopanego w latach 1956—60 przeznaczając na ten cel początkowo, na dwa lata, 62 miliony złotych, a następnie na lata 1956—60 dodatkowo 315 milionów złotych. Buduje się szpital na 420 łóżek, hotel turystyczny z pełnym wyposażeniem na 624 łóżka, bar samoobsługowy zdolny obsłużyć dziennie ponad 5.000 osób

Lista inwestycji jest olbrzymia. Przytoczymy jeszcze kilka aby dać pojęcie o ich wszechstronności. A więc:

Budowa wodociągu na Olczy

Kolektor w dzielnicy Białego

Zakład Gastronomiczny przy ul. Tetmajera

Wytwórnia wód gazowych i rozlewnia piwa

Budowa sali gimnastycznej — Bystre

Linia wysokiego napięcia

Dworzec Autobusowy PKS

Drogi publiczne w okolicy Zakopanego

Wyposażenie GOPR

Budowa schroniska nad Morskim Okiem

Urządzenie obozów biwakowych

Piekarnia — 10 ton pieczywa na dobę

Dom Towarowy „Delikatesy"

Ośrodek wyszkolenia sportowego

Pawilon sportowy przy ul. Orkana.

Magazyn owocowy na 600 ton

I cały szereg innych. O ośrodku sportowym mówi się najgłośniej, jako że on jest obiektem najbardziej zaawansowanym i już na początku przyszłego roku na jego terenie odbędą się mistrzostwa zimowe wojsk zaprzyjaźnionych. Wtedy też przebudowywana gruntownie skocznia na Wielkiej Krokwi zostanie oddana do użytku. Oczywiście nie znaczy to, że nowa skocznia będzie już całkowicie ukończona. W początkach marca znów wkroczą na nią budowniczowie. Całość prac, a więc budowa pawilonu gdzie mieścić się będzie trybuna honorowa, bar, urządzenia dla prasy, radia i telewizji, dalej stadion dla 20 tys. widzów i stalowe trybuny dla 2.800 widzów — to wszystko będzie montowane już po najbliższym sezonie zimowym.

Tę czwartą co do wielkości skocznię narciarską w świecie przygotowujemy na mistrzostwa narciarskie świata FIS, które odbędą się w Zakopanem w roku 1962. Posiadanie skoczni odpowiadającej warunkom zdobycia tytułu mistrza świata w narciarstwie uczyni z Zakopanego miejscowość atrakcyjną również dla najlepszych sportowców i miłośników narciarstwa z całego świata.

Piszemy o tym wszystkim z entuzjazmem. Z wielkim entuzjazmem mówi i nam o tych sprawach przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Zakopanem Zdzisław Lubosiński (nawiasem mówiąc-łodzianin) ale przecież nic nie przychodzi samo. Choćby materiały budowlane. Trzeba je transportować z Krakowa. Dziennie zakopiańskie budowy potrzebują co najmniej 16 wagonów budulca. Kolej zgadza się dostarczyć połowę. A więc zabiegi o dodatkowe linie autobusowe PKS dla przewozu pasażerów, o ograniczeniu komunikacji osobowej na PKP na rzecz rozszerzenia przewozów towarowych, a więc w końcu postulat elektryfikacji linii Kraków-Zakopane.

Cel jest jeden: uczynić z Zakopanego wielki ośrodek wypoczynkowy, sportowy, i zdrowotny. I nie tylko z Zakopanego w którym jak to dowcipnie przed laty zauważał Makuszyński „bakcyle Kocha są wielkości chrabąszczów, a samo miasto ich największą wylęgarnią", ale z Bukowiny, Poronina, Kościelisk, Morskiego Oka itd. słowem Podtatrza.

Zakopane jest dzisiaj dokumentnie rozkopane. Ale ten widok może tylko cieszyć. Po 100 latach, od chwili jego „odkrycia" wzięto się za to miasto solidnie i z głową. „Fałszywa perła Tatr" już za dwa lata będzie perłą wysokiej próby. A w następnych? Pomyślcie! Jeżeli projekt dalszej rozbudowy Zakopanego-Podtatrza przewiduje przeznaczenie na ten cel w latach 1961-65 dalszych 707 milionów złotych na 53 nowe inwestycje?

A zatem: „W góry, w góry miły bracie!"

*) *Wszystkie cytaty pochodzą z „Listów z Zakopanego" Kornela Makuszyńskiego. Wyd. Gebethnera i Wolffa. 1929.*

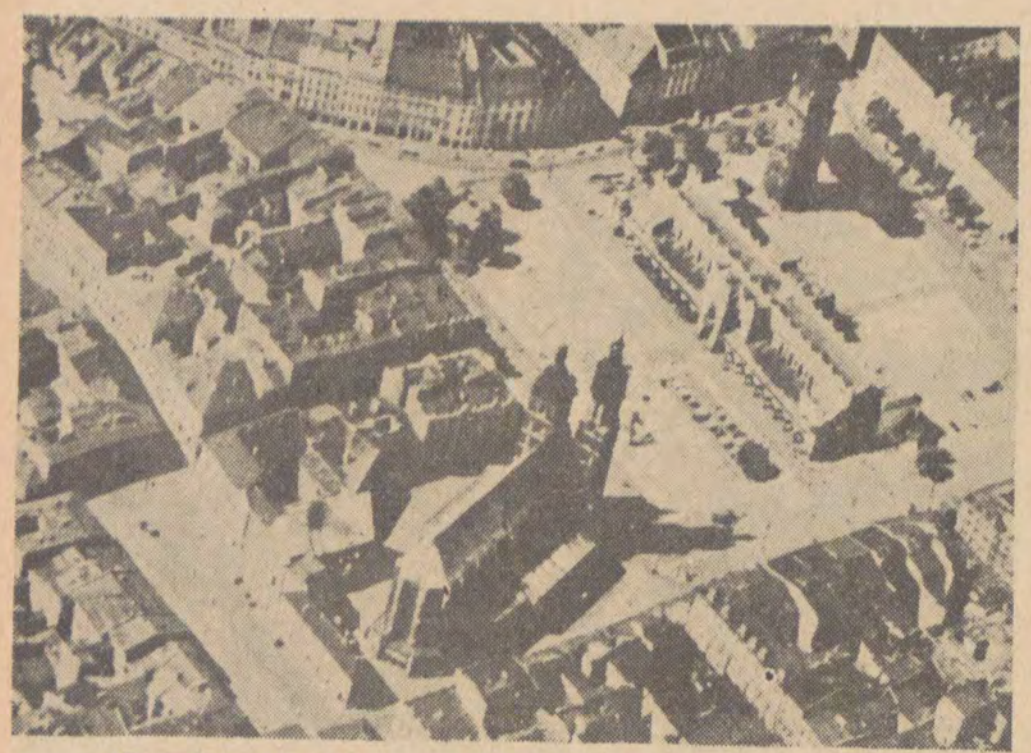

SZOPKA KRAKOWSKA

(Dokończenie ze str. 1)

złote trzeba dać za wejście do skarbca wawelskiego, dwa złote kosztuje obejrzenie komnat królewskich, gdyż jak napisano w broszurce „Kraków klejnot Polski" — *„wysoka cena krakowskich pamiątek i skarbów sztuki wzrosła jeszcze wydatniej po ostatniej wojnie, która w niweczącym wszystko na swej drodze huraganie obróciła w perzynę i gruzy klejnoty zabytkowe tylu innych miast w Polsce"*. Tacy to oni, redaktorze.

Dwoma złotymi trzeba uiścić wejście do Smoczej Jamy. A jaki profil ciągną z „jamy Michalikowej"? Nawet na jamach, redaktorze, dobrze można u nich zarobić. Dla tych dwóch złotych wstępu do jamy, utwierdzają lud w przekonaniu o istnieniu smoków, o czym prawie na serio wyczytać można w „Przewodniku po Krakowie". Żeby zaś wiarę w smoki pogłębić, u wejścia do katedry na Wawelu umieszczono na łańcuchach kości różnych pra-ptaków, pra-szczurów i jaszczurów przedpotopowych. A u nas? Ileż u nas w Łodzi jam niewykorzystanych, szczególnie po ostatniej naprawie nawierzchni i chodników. Kości mamutów znalezionych w Pabianicach i w Skaratkach ukryto w muzeum, zamiast na łańcuchach przyczepić choćby przed barem „Rekord", konsumentom ku przestrodze.

Kraków, redaktorze, ma swój styl, przyznaję. W oddziałach Muzeum Narodowego w całej Polsce znaleźć można wszędzie tabliczki objaśniające eksponaty muzealne. Inaczej w Krakowie na Wawelu. Oprócz skarbca wawelskiego, na próżno szukać będziesz karteczek z objaśnieniami. Albo więc, redaktorze, krakowiacy traktują wszystkich jak analfabetów, albo też chodzi o to, żeby miała co do roboty ta cała rzesza ich przewodników? Poszliśmy z takim przewodnikiem do grobowców królewskich (za 2 złote). Przewodnik powiada do mnie i do pozostałych: *„Niech wycieczka uważa, bo znajdujemy się w krypcie Świntego Leonarda zbudowanej w stylu romańskim. Wycieczka wie co to był styl romański? To ten styl, co istniał przed stylem gotyckim. A wycieczka wie co o stylu gotyckim? To ten styl co był przed barokiem. A teraz wycieczka widzi: tu r z y n d e m leżą królowie polscy od Łokietka poczawszy a na Józefie Piłsudskim skończywszy"*. I tak sto redaktorze, przedefilowaliśmy przed historią która na nas patrzyła.

Teraz znaleźliśmy się w komnatach królewskich. Największe wrażenie uczyniła na nas sala, tak zwana poselska. Jest w tej sali jakby tron, a przed tronem dwa rzędy krzeseł. Wyobraziłem sobie króla na tronie, a w onych krzesłach posłów zagranicznych, aż tu przewodnik wyjaśnia, że to nie jest tron, tylko takie sobie krzesło, a te inne krzesła są w ogóle zbyteczne, bo posłowie nie siedzieli tylko stali przed królem. Więc jakże to tak, redaktorze? Myślę, że tym krakowiakom wierzyć na słowo nie można.

Bo niechże sobie redaktor pod uwagę weźmie broszurkę „Kraków klejnot Polski", którą do listu łaskawie załączam. Piszą w onej broszurce o tym naszym klejnocie: *„...Zamieszkał w tym mieście Geniusz Dziejów, który błądzi tu nieprzerwanie ulicami i co krok przemawia strofami tysiącletniego rapsodu"*. Chodziłem z przyjacielem dość długo i ani razu nie napotkaliśmy kogoś co by do nas przemówił mową wiązaną. Albo inny „kawałek", tym razem o murach Sukiennic na rynku:

„Toczą one nieprzerwaną od wieków pogwarkę ze starymi domami i pałacami, które w zwartych pierzejach okoliły rynek — podziwiają z uznaniem obie splecione w siostrzanym uścisku wieże Mariackie, wyprostowane dumnie nad miastem w poczuciu swej rzadkiej, a nieodmiennej w pochodzie lat urody — współczują osamotnieniu stojącej z przeciwległej strony wieży ratuszowej, owdowiałej po zburzonym przed laty ratuszu..."

Uf, dalej nie mogę, tak mnie ta wdowa rozczuliła a owe siostrzane uściski wzruszyły. Sprawdziły się i na mnie wstępne słowa z cytowanej już broszury, że piękność Krakowa jest *„zdolna wprawić w podziw nawet najbardziej znieczulonych włóczęgów z szerokiego świata"*.

A w ogóle, redaktorze w Krakowie wszystko jest inne i dziwne. Jak piszą:

„Co roku nieodmiennie wiosna przystraja gałęzie kasztanów dziwnym biało-różowym kwieciem, niby choinkowymi świeczkami". Potem jest lato i *„...co roku lato w dni skwarne rozciąga zielone namioty nad głowami przechodniów, a jesień podmuchem wiatru rozlewa po alejach złoto i purpurę umarłych liści..."* Tak, tak, redaktorze. Umieją oni ten swój towar sprzedać, umieją. Jak się czyta to mróz człowieka przechodzi i skłonnym czyni pomyśleć, że w Łodzi kasztany kwitną, zwykłym biało-różowym kwieciem.

A co tam pamiątek i tablic na domach! Jeśli w takim tempie nowe tablice będą umieszczać, to za sto lat dziennikarzowi przybywającemu do tego miasta, trzeba będzie dać delegację służbową przynajmniej na trzy tygodnie. Tyle będzie miał czytania. Dwa dni mieszkał Goethe w Krakowie a już mu wielgachną tablicę na rynku wystawili. Istniał u nich przed laty, dość krótko zresztą, kukiełkowy teatrzyk o nazwie „Zielony balonik". Dziś już nawet miejsce po tym teatrzyku gotowi całować, za świętość narodową go traktują. Skoczy do beatyfikacji jak nikt inny na świecie. Jakby nie było ich stać na nic nowego i lepszego.

Trafiłem do ich studenckiego klubu „Jaszczury" (też pewnie za lat dziesięć tablica tam stanie). Akurat z gazetą poszedłem, w której stojało, że Zrzeszenie Studentów Polskich otrzymało od Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej 650 tysięcy złotych dla studentów na paczki i na podniesienie stypendiów. Wchodzę ja do tego klubu i oczom nie wierzę. Lokalik jakby na użytek milionerów, bo też i chyba ponad milionik kosztował, biedne studenty i studentki ubrane jak na rewii mody. „High life", „bon ton" i wszystko takie jakieś ekskluzywne, że się czułem jako parias, choć ja na siebie zarabiam, a oni biedacy ze stypendiów żyją. A kiedy ten lokal opuściłem, to pożałowałem, że nie jestem studentem bo bym tu siadywał, rokend-rolli i brał stypendium oraz paczki na święta. Więc proszę o odpowiedź, panie redaktorze. Jeśli prawda jest, że naszej studenckiej młodzieży nie najlepiej się żyje, to dla kogo urządza się podobne luksusowe studenckie kluby? Dla garstki wybrańców, którzy mają bogatych tatusiów? W każdym bądź razie, ja jako podatnik Ludowego Państwa życzę sobie, aby moje pieniądze szły na rozbudowę sanatoriów dla studentów, na lepszą profilaktykę lekarską, na budowę domów akademickich i boiska sportowe, a nie na wspaniałe miękkie fotele, wyścielane podłogi, ekskluzywne studenckie cocktail-bary, które ZSP buduje. Oczywiście, jestem jak najbardziej za istnieniem klubów studenckich, ale skromniejszych, na miarę naszych skromnych warunków. Bo jak redaktorze, wychowamy naszych studentów w takim luksusie, to wątpię czy zechcą potem za te 1.200 złotych pracować.

A zresztą, może się mylę, redaktorze Może to nie był lokal studencki, tylko mi się przyśniło? Może to znowu krakowski „blichtr" zrobiony dla zamienia przyjezdnych prowincjuszy? Bo oni, tam w Krakowie, przecież słyną w Polsce z budowy różnego rodzaju szopek. Więc może to wszystko szopka krakowska?

Co się zaś tyczy tej przygody intelektualnej, to ona będzie redaktorze, będzie na pewno. Tylko niech mi pan przyśle na powrót do Łodzi.

Dan w Krakowie, w grudniu 1960 r.

ZBIGNIEW NIENACKI

Na Kopernika — wieża Babel

(Dokończenie ze str. 8)

maczeniu „W pustyni i w puszczy" i „Quo vadis".

On również patrzy daleko. Można przewidzieć, że w przyszłości ten młody, niezwykle sympatyczny i inteligentny student, będzie pierwszym profesorem filologii słowiańskiej, w pierwszym w Somali uniwersytecie.

Przyjeżdżają do nas z dalekich tropikanych krajów. Zimno im tu nieraz i smutno w czasie listopadowych i grudniowych szarug i bardzo tęsknią do swych krajów rozpromienionych słońcem. Skarżą się trochę na jedzenie, na obfitość kartofli w studenckich stołówkach, do których nie są przyzwyczajeni.

Pozostają z dala od swej ojczyzny przez wiele lat nie mając najczęściej środków na to, by ją odwiedzić w czasie wakacji.

Przyjeżdżają licząc na serdeczność i życzliwość ludzi, którzy będą ich otaczać w ciągu wielu lat. Wiedzą o tym, że Polska to kraj socjalistyczny i bez względu na swoje przekonania polityczne są przeświadczeni o tym, że nie może ich spotkać u nas nic przykrego z powodu ich koloru skóry.

Przeważnie nie zawodzą się w swych nadziejach. Często jednak razi ich jakaś przesadna ciekawość. Jadą tramwajem a mamusie wskazując na nich palcem mówią do swych pociech: „patrz, Murzynek!" Mamusia nie ma nic złego na myśli, ale czarnemu studentowi jest przykro, czuje się trochę jak zwierzyńcowy eksponat.

Nieraz dotykają po prostu ich włosów i rąk.

Dialloousmane (Mali)
Foto: Leon Olejniczak

Zagraniczni studenci są często zapraszani na różnego rodzaju imprezy i oficjalne uroczystości. Sadowi się ich wówczas za stołem prezydialnym. Ludzie otwierają usta, kręcą głowami, dziwią się, że oni mówią po polsku. Mają wiele tych oficjalnych spotkań. Ale za mało chyba bezpośrednich serdecznych stosunków z ludźmi, za rzadko bywają w ich domach, a pragną tego i cieszą się każdym spotkaniem.

W tym względzie zdarzają się jednak i bardzo wzruszające wypadki. Jakieś trzy lata temu pewien kolejarz z Ostrowia Wielkopolskiego poznał w pociągu studenta Wjetnamczyka. Zaprzyjaźnił się z nim i powiedział mu kiedyś: W czasie pobytu w Polsce będziesz moim synem. Zapraszał go na wakacje, przysyłał paczki i upominki, odwiedzał go w Łodzi. Bywa i tak, ale jeszcze za rzadko.

Z całego świata przyjeżdżają do nas, uczą się polskiego, poznają Polskę. Studiują na naszych uczelniach. Ale jakże często stykają się z absolutną niewiedzą o ich krajach, a jak bardzo pragną mówić nam o sobie, a nie tylko dowiadywać się o nas.

Kiedy pytałem ich o zdanie na temat polskich studentów nie bardzo chcieli o tym mówić. Zrozumiałem jednak że dziwi ich mocno że niektórzy nasi studenci tak bardzo krytykują swój kraj. Student z Iranu powiedział mi nawet pukając się dobitnie palcem w czoło: „oni muszą mieć źle w głowie, kiedy tak często mówią źle o swym kraju mając tak wspaniałe warunki do nauki".

Studentów zagranicznych to dziwi.

W Łodzi w skromnym budynku przy ul. Kopernika 93 rozbrzmiewa wielojęzyczny gwar. Od dziewięciu lat wytrawni pedagodzy: dyrektor Łacjak dr Kulak, mgr Żeleszkiewicz, mgr Głatkowa uczą polskiego. Język polski będzie dla tych studentów z całego świata kluczem do wiedzy. Z tą wiedzą pojadą do swoich krajów, będą pracować, budować, tworzyć i uczyć, będą zmieniać oblicze swoich ojczyzn. Nieraz powrócą myślą do kraju w którym zdobyli wiedzę, nieraz zapewne wezmą do ręki polską książkę lub polską gazetę. Będą często mimo woli pierwszymi ambasadorami polskości w dalekich krajach, o których my wiemy niewiele, a często nie pamiętamy ich nazw.

To chyba bardzo przyjemne i zaszczytne, że taki ośrodek mieści się w Łodzi. Tak często używa się sformułowania że to zobowiązuje, że aż brzmi ono jak slogan. Ale to naprawdę zobowiązuje, nie do żadnych wielkich czynów ale po prostu do ludzkiej życzliwości i taktu. Pamiętaj o tym kiedy zetkniesz się gdziekolwiek ze studentem z dalekiej Afryki Azji czy z Ameryki Łacińskiej.

JACEK LEBEN

Kronika kulturalna

Dokończenie ze str. 7

Do niedawna w targowy dzień można było kupić na rynku w Łęczycy dzbany zrobione rękami Bolesława Wasiaka. Obecnie dzbany te znajdują się tylko w Muzeum, gdyż jedyny utalentowany garncarz z tego regionu kilka dni temu zmarł.

Nie ma dziś chętnych do lepienia dzbanów. Po co się babrać w glinie — jak mawiał jeszcze za życia Bolesław Wasiak — przecież można znaleźć pracę bardziej przyjemną, a przede wszystkim mniej brudną; no, na przykład, malarstwo.

Kogo jak kogo, ale malarzy nam nie brak. W Krakowie egzystuje ich potężna armia, w Łodzi też jest ich ze dwie setki. Czy można więc się dziwić, że pewnego dnia na Łowicz został dokonany najazd malarzy? W efekcie powstało pare tuzinów pejzaży, które wystawione zostały w tamtejszym Muzeum Sztuki.

Po malarstwie właściwie byłaby kolej na czytelnictwo książek i biblioteki. W ubiegłym roku odbyły się w bibliotekach 24 odczyty popularne, a już w tym roku 58. Z samymi literatami spotkań było dwa razy więcej, w ubiegłym roku było ich 17. A mnie się zdaje, że to jest wszystko za mało.

Tyle o Łowiczu. A co na przykład w Zduńskiej Woli?

Myślę, że nie można obojętnie przejść obok faktu powstania w tym mieście Klubu Młodzieżowego ZMS „Plastuś", w którym można i potańczyć i poczytać prasę, spotkać się z twórcami klubu, który dla miejscowego środowiska młodzieży robotniczej (w Zduńskiej Woli znajduje się kilka fabryk) — jest miejscem wytchnienia. Nowej placówce kulturalnej mecenasuje Komitet Miejski Partii, a wyklinają stare ciocie.

Pierwszy program artystyczny upłynął pod znakiem piosenki i satyry. „Ogłosy" zamieściły na ten temat osobny reportaż. Odwołuję się do niego. Czy można powiedzieć, że w terenie nic się nie dzieje? Czy wymieniłem wszystkie nazwiska? Nie sądzę.

KAZIMIERZ ZYGMUND

O ptakach

Derkacze to wołają:
bier, bier, bier...

A kukułka, nasz ptak, woła:
ku-puj, ku-puj, ku-puj...

Kuropatwy, jak popłoch, to wołają:
ci-szy, ci-szy, ci-szy...

O różnych ptakach

Ptaki to różnie śpiewają.
Przepiórki na zwiesnę wołają, jak tylko przychodzą:
Pa-weł, Pa-weł, pądź cielę...
to znaczy wyganiaj na pastwisko.
Jak potem zielsko wyrośnie w redlinach, to krzyczą:
Pódźcie plić, pó-dźcie, plić...
to znaczy zielsko wyrywać.
Potem jak trawa dostanie pięć kolanków, wołają:
Pińć — kolon, pińć — kolon.
a potem, jak żyto gotowe:
pó-dźcie żąć, pó-dźcie żąć.

* * *

Na błotach jeszcze były ptaki baranki, co mają długie dzioby co krzyczą w podobie jakby baranek beczał, albo też tak:

co upiekę
zjim, zjim, zjim,
wezmę batoga
będę bił, bił, bił...

...ad astra

czyli gwiazdy na gwiazdkę

MARIA KORNATOWSKA

Gwiazda na choinkę — Brigitte Bardot

Staropolskim obyczajem chcemy Wam, drodzy czytelnicy, ofiarować jakiś miły świąteczny upominek.

Wszem wobec wiadomo, iż największym (poza posiadaniem własnego samochodu) marzeniem każdego Polaka są zagraniczne wojaże. Jesteśmy, skromnym, prowincjonalnym tygodnikiem, nie stać więc nas na Rzym ani Paryż. Na takie podróże może sobie tylko pozwolić prasa warszawska.

My zaś jedynie możemy Wam ofiarować na Gwiazdkę mały wypadzik w gwiazdy. Tanio i wygodnie. Bez przesiadek i bez tłoku.

Gwiazdy — jak podaje Wielka Encyklopedia Kosmiczna, t. V str. 34 — *są to ciała niebieskie, obdarzone nader interesującą (oczywiście z naukowego punktu widzenia) powłoką ziemską.* Wszyscy kręcimy się wokół gwiazd ruchem z lekka przyśpieszonym. One zaś zapalają się i gasną zgodnie z żelaznymi prawami swego świata.

A oto skład chemiczny gwiazdy: 1/3 sex-appealu, 1/3 reklamy i 1/3 wdzięku. W indywidualnych i nielicznych wypadkach dodaje się szczyptę talentu (niekonieczne i trudne do uzyskania).

Z tych właśnie trzech składników fabrykuje się gwiazdę. Najważniejsza jest, w zasadzie, odpowiednia reklama robiona wszelkimi możliwymi środkami. Oto parę sposobów zręcznego reklamowania gwiazdy, zaczerpniętych z wybitnych i jak najbardziej autorytatywnych zagranicznych źródeł naukowych. Podajemy je na wszelki wypadek, bo a nuż ktoś z Was też chce zostać gwiazdą? Nasza redakcja służy zawsze serdeczną radą i pomocą.

A więc trzeba: 1) zasypywać prasę swymi możliwie najbardziej roznegliżowanymi zdjęciami, 2) rozbierać się przy każdej nadarzającej się po temu okazji i najlepiej w miejscach publicznych, 3) wszelkimi środkami zwracać na siebie uwagę opinii publicznej zmieniając fryzury, stroje, mężów i kochanków, nie omieszkawszy nigdy powiadomić o tym ogółu. Skandale w życiu prywatnym mile widziane, oczywiście w granicach dopuszczalnej przyzwoitości. Życie gwiazdy, wbrew pozorom, nie jest jednak usłane różami. Cóż? Konkurencja jest bardzo silna. Jak grzyby po deszczu rodzą się nowi rywale i rywalki, prezentując światu coraz to atrakcyjniejsze wdzięki. Nie masz spoczynku dla gwiazdy, nie masz odprężenia nerwowego. Cały sztab psychologów tworzy jej duszę i uczucia stosownie do zamówienia społecznego. Gwiazdy ekranu świecą światłem odbitym. Stają się żywym mitem, uosobieniem Waszych niespełnionych marzeń, zwierciadłem Waszych często podświadomych pragnień. *„Film tworzy takie gwiazdy, jakich żąda publiczność, na miarę jej gustów, poglądów i moralności. Gwiazdy są takie jakimi je chcemy widzieć".*

Dlatego z upodobaniem czytacie najbardziej niepraw dopodobne historie z ich życia i śledzicie z podziwem ich podobizny. Stworzyliście je sami. Skazaliście je na to sztuczne, nieprawdziwe życie, pędzone w świetle jupiterów i lamp błyskowych, pod okiem tysięcy obiektywów i wścibskich dziennikarzy.

Czy gwiazdy mogą mieć naprawdę swoje prywatne,

Gwiazda ognista — Silwana Mangano

osobiste życie? Tak, o ile rezygnują ze swej kariery. W przeciwnym razie ich życie staje się publicznym widowiskiem. Wszystko, łzy i uśmiech, radość i smutek przeznaczone jest na pokaz. Nic tak nie przyćmiewa blasku gwiazd jak milczenie. O gwiązdach trzeba mówić za wszelką cenę, nawet za cenę ich szczęścia i spokoju. Tylko gwiazdy, o których się mówi — źle czy dobrze to nieważne — tylko takie się liczą. Dlatego prasa całego świata zachłystuje się szczegółami ich życia, rozdmuchując je do niebywałych rozmiarów, tworząc dwudziestowieczne wersje baśni o kopciuszkach i śpiących królewnach, odkrywając zależnie od mody głębie ducha i serce nieszczęsnych gwiazd, ich wewnętrzne dramaty i rozdarcia. Nie bierzcie sobie zbytnio do serca, drodzy czytelnicy, ani tych dramatów ani nagłych wybuchów szczęścia. Prawdziwe tragedie i prawdziwe szczęścia-gwiazdy, mimo wszystko, zachowują dla siebie. Któż zresztą odgadnie co jest w nich prawdą a co zewnętrznym lub wewnętrznym maquillagem?

Wysłuchajcie więc bez specjalnego wzruszenia kilku baśni XX wieku, bo któż z nas bajek nie lubi?

A oto i nasza międzygwiezdna rakieta Proszę nastawić teleskopy. Nad nami gwiazda kategorii specjalnej, najjaśniejsza na europejskim niebie czyli... BRIGITTE BARDOT. B. B. przeżywa tragedię Jej małżeństwo z J. Charrier okazało się pomyłką. Bardot ma już dosyć tego nerwowego, rozhisteryzowanego chłopaka, który ze zdumiewającą naiwnością, chciał ją uczynić domową kurką, wzorową żoną i matką. Chłopaka, z którego pocieszonych perypetii życiowych nabija się po trosze cała Francja. Tym bardziej, że na horyzoncie pojawił się uroczy Sami Frey, partner Brigitte w filmie „Prawda". Przedtem był jeszcze niewielki flircik z samym Clouzotem, ot tak dla ułatwienia sobie współpracy na planie. Romans B. B i Freya stał się głośny dzięki awanturze jaką zazdrosny mąż urządził na ulicy szczęśliwemu rywalowi. Mały skandal towarzyski nigdy nie zawadzi.

Państwo Charrier zamieszkali w oddzielnych apartamentach. Kochanek, na wszelki wypadek schronił się w klinice neurologicznej, ulubionym miejscem odpoczynku gwiazd filmowych. Cała Francja z niecierpliwością oczekuje zakończenia tego dramatu w antrakcie, którego B. B. próbowała targnąć się na swoje życie.

Nie opodal Brigitte świeci podobnych kształtów, aczkolwiek nieco bledsza gwiazda drugiej żony Vadima — ANNETTE STROYBERG. Biedny Vadim! — prześladuje go wyraźny pech w postaci czarującego piosenkarza, Casanowy paryskiego świata — Sachy Distela. Już po raz drugi ten młody człowiek odbija mu żonę. Zadziwiająca zbieżność gustów! Vadim lubi bawić się w Pigmaliona. Tworzy z swych żon przedmiot pożądania wszystkich mężczyzn. Ale w dzisiejszych czasach nie można liczyć na wdzięczność Galatei. Ledwo poznawszy swą władzę piękne Galatee wymykają się swemu twórcy. Annette już raz wprawdzie pogodziła się z Vadimem, rozpraszając jego podejrzenia Oboje udali się wówczas w krainę słońca i miłości, czyli na Tahiti. Ale po powrocie do Paryża konflikt między małżonkami zaostrzył się powtórnie. Annette coraz częściej pokazuje się w towarzystwie Distela. Rozwód wisi na włosku. Strapiony małżonek próbował znaleźć balsam pociechy u pięknej Włoszki, Eleonory Rossi Drago. Jak twierdzą dobrze poinformowani ma zamiar tworzyć następną Galatee.

Nasza rakieta przelatuje ocean. Patrzcie uważnie! Na horyzoncie MARYLIN MONROE! Jej rzekomy romans z Yves Montand i rozwód z A. Millerem bardziej pasjonował mieszkańców Ameryki niż wybory prezydenta i wypuszczenie Discoverera 17. Nic dziwnego! Jeszcze do niedawna trwała idylla między „najcudniejszym wcieleniem kobiecości", a „najbardziej męskim mężczyzną świata". Nie wspominajmy już o drobnym flircie z sir Laurence Olivierem, który to flirt do tego stopnia zdenerwował dystyngnowaną panią Vivien Leigh, że przestała bywać w domu Millerów. To był tylko nieistotny epizod.

Gwiazda egzotyczna — Haya Mararit

Wszystko zaczęło się od pewnego pięknego dnia, kiedy to M. M. oświadczyła, że Yves musi być jej partnerem w filmie „Miliarder" Tylko Yves i nikt inny, albowiem jest on „najbardziej podniecającym i interesującym mężczyzną świata". Co było potem, tego nikt właściwie dokładnie nie wie, ale wszyscy się domyślają. Yves został jeszcze w Hollywood, jego żona wyjechała do Francji, a M. M. do Reno — stolicy rozwodów, kręcić swój następny film wg. scenariusza Millera. Yves co wieczór telefonował do swej małżonki, a potem, już po powrocie do Francji miał nawet oświadczyć, iż Marylin była tylko jego sztubacką miłością. M. M. przyjechała z Reno, zapłakana i szalenie zdenerwowana. Ze łzami w oczach oznajmiła otaczającym ją dziennikarzom: „Między Millerem a mną wszystko już skończone. Nie ma żadnej nadziei. To ostateczne zerwanie". Jeden fakt pozostaje w zasadzie niezbity. Dzięki wszystkim tym perypetiom Montand z miejsca zawojował Amerykę i ma już kilkanaście propozycji z rozmaitych wytwórni.

Nieco niżej od Marylin coraz silniejszym światłem błyska zupełnie nowa gwiazda — DEBBIE REYNOLDS (Pułapka miłości), eks-żona Eddie Fischera. Debbie była ongiś skromnym kobieciątkiem, grającym role miłych, naiwnych dziewcząt. Dziś ma ona wszelkie szanse by zostać pierwszym wampem Hollywood. Zmieniła fryzurę, spojrzenie i typ maquillagu. Stroi się w coraz bardziej ekstrawaganckie i coraz bardziej wydekoltowane toalety. Bywa w okrzyczanych nocnych lokalach, otoczona tłumem wielbicieli, którzy prześcigają się w składaniu jej kosztownych upominków.

Przed nami jeszcze jedna nowa gwiazda Hollywood, 24-letnia „najbardziej sexy-tancerka świata" JULIET PROWSE. Juliet grając w filmie „Cancan" zwróciła na siebie uwagę samego Franka Sinatry (Pułapka miłości), niekoronowanego króla Hollywood, głowy klanu trzęsącego stolicą snów. Klan Sinatry skupia amerykańskich zwolenników „słodkiego życia" i nadaje ton hollywoodzkiemu światkowi. Biada aktorowi a zwłaszcza debiutantowi, który naraził się w czymś klanowi. Dni jego są policzone! Nikt nie zawrze z nim kontraktu. Do klanu należą m. in. Shirley MacLaine (laureatka tegorocznego festiwalu w Wenecji), Lauren Bacall, Dean Marin (Młode lwy), Peter Lampord, szwagier prezydenta-elekta J. Kennedy. Sam Kennedy i jego żona pozostawali w bardzo bliskich stosunkach z klanem, którego członkowie brali aktywny udział w kampanii wyborczej. Zwycięstwo Kennedy umocniło jeszcze bardziej pozycję Sinatry.

Gwiazda rodzinna — B. Kwiatkowska (B .Lass) z reż. R. Clement

I ten to właśnie groźny władca Hollywood zapałał uczuciem do pięknonogiej tancerki. Wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby nie Elvis Presley, partner Juliet w jej najnowszym filmie, realizowanym pod patronatem Sinatry „G. I. Bluse". Służba wojskowa nie pozbawiła Presleya męskiego sexappealu. Więc reszty możecie się już sami domyśleć. Elvis gotów jest nawet poślubić tancerkę, ale na wszelki wypadek, gdy Sinatra wchodzi do atelier, były „bohater" US Army ulatnia się pośpiesznie. Całe Hollywood z napięciem śledzi tę rywalizację o rękę i piękne nogi Juliet Prowse. My wierzymy w czar Elvisa.

Czas ucieka! Wracajmy szybko do Europy.

Na bezchmurnym niebie Italii lśni urocza gwiazdeczka. Sfery włoskiego highlifu przeżywały niedawno nie lada sensację. Nadtybrzański kopciuszek — ELSA MARTINELLI (Indiański wojownik), rzuciła swego królewicza z bajki, hrabiego Mancinell-Scotti, luksusowy pałac, klejnoty i pozycję towarzyską. A wszystko to dla kogo? Wstyd powiedzieć... Dla zwyczajnego aczkolwiek przystojnego paryskiego fotografa Willy Rizzo.

Nasza podróż dobiega końca. Rzućmy jeszcze okiem na gwiazdę północy, BASIĘ KWIATKOWSKA czyli BAR BARĘ LASS. Nasza rodzima, swojska gwiazda robi karierę zagraniczną. Piszą o niej niewiele, ale miejmy nadzieję, że film Clement „Jakżeż przyjemnie jest żyć" rozsławi jej imię. Musimy się na razie zadowolić małą wzmianką na jej temat znalezioną we włoskim czasopiśmie „L'Europeo". *Barbara Lass należy do najpopularniejszych aktorek zza żelaznej kurtyny, chociaż w Polsce otrzymywała zaledwie 600 tysięcy złotych za film, co według jej słów nie wystarczało nawet na kupno własnego samochodu... Nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest piękna i zdolna... Nie maluje się, nie uprawia diety, siedzi całymi dniami w domu. Kiedy ją odwiedziłam, czytała właśnie książkę Rilkego, a na jej biurku leżało „Życie Chrystusa". Oczywiście, że czytam te książki — oświadczyła. Jestem socjalistką interesującą się wszystkimi aspektami kultury. Czy aktorki włoskie nie czytają Rilkego ani „Życia Chrystusa"?*

Tak więc Basia stwarza nowy typ gwiazdy-intelektualistki. Miło nam zanotować jeszcze jeden sukses naszych zagranicą. Na marginesie dodajmy, że Clement usłyszawszy powyższą wypowiedź polskiej gwiazdy dostał konwulsyjnego niemal ataku śmiechu. Jakżeż przyjemnie i pouczająco jest żyć wśród gwiazd!

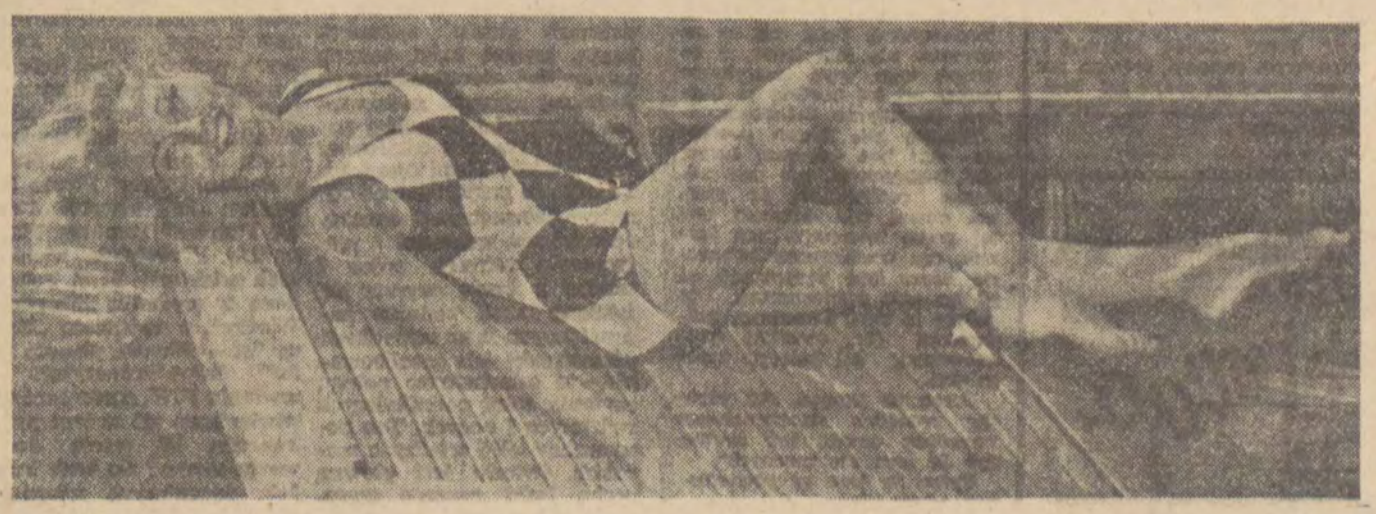

Gwiazda Północy — Elga Andersen

Historia z myszką

Mówi Walt Disney...

Przystojny pan w nienagannie skrojonym garniturze oprowadza po swoim królestwie zaczarowanych rysunków wiedzie nas przez pustynie, zaglądamy razem na dno morza, razem słuchamy muzyki patrząc na malarskie wizje utworów Bacha czy Czajkowskiego, razem śmiejemy się z przygód całej gromady zwierzątek-bohaterów jego filmów rysunkowych.

Mówi Walt Disney...

Oto ten któremu dane było zrealizować najtajniejsze marzenia dorosłych i dzieci. Tym co zdobył, co stworzył dzieli się sprawiedliwie. Disney był ozdobą naszego dzieciństwa. Jego „Królewna Śnieżka" (1937) — film składał się z trzech milionów rysunków, kosztował milion dolarów i ukazał się jednocześnie na ekranach 48 krajów — zahipnotyzowała dzieci na całej kuli ziemskiej, uczyniła z Disney'a coś w rodzaju bóstwa młodego pokolenia.

Po wojnie na ogół mało mieliśmy filmów disneyowskich na ekranach naszych kin. Dopiero teraz przełomu dokonała telewizja ze swą serią filmów Disneyland, a w ślad za tym ma wejść na ekrany kin pełnometrażowy film rysunkowy „Piotruś Pan" (1953), film w którym fantazja idzie o lepsze z oszałamiającym tempem. Jest też w kraju kilka pomniejszych filmików rysunkowych i westerny z aktorem „Wozy jadą na Zachód" (1957) oraz „Polowanie na lokomotywę". Nie słychać niestety o innych filmach takich jak wspomniana „Śnieżka", „Byczek Fernando" czy „Fantazja" (1940) będąca filmową ilustracją dzieł muzycznych Beethovena, Mussorgskiego, Schuberta, Strawińskiego i innych. Dalej warto by zobaczyć film o tematyce fantastycznej „20 tysięcy mil podwodnej żeglugi" — najdroższy film Disneya — w którym akcja rozgrywa się na dnie morza. Jego fragmenty widzieliśmy w montażu „Potwory głębin". Mówi się już coraz głośniej o wprowadzeniu na ekrany naszych kin pełnometrażowego filmu „Kopciuszek" (1950) w którym nawiązuje Disney do dawnego motywu „Królewny Śnieżki". Cisza za to na temat „Pinokio".

Mówimy tu o kinie a nie o telewizji ponieważ dla kina przeznaczone są barwne filmy wytwórni w Burbank. Ponieważ jednak właśnie telewizja a nie Centrala Wynajmu Filmów przywróciła nam Disneya, odbiorcom przedstawiamy raz jeszcze pana Walta.

Disney nie wymyślił bynajmniej filmu rysunkowego. Już przed nim historia sztuki filmowej wymienia cały szereg nazwisk i pozycji, zresztą on sam zaprezentował nam kiedyś na ekranach telewizorów historię tego gatunku obficie zilustrowaną oryginalnymi wstawkami z pierwszych kreskówek. Ale faktem jest, że Disney wprowadził do filmu rysunkowego swój styl swoją manierę artystyczną, znakomicie powiązał w jedność całość rysunek, kolor, muzykę, dalej gagi, stylizowany dźwięk, kolor, muzykę satyryczną, deformacje i humor, dobry smak, fantazję, jeszcze sto innych elementów, które razem tworzą całości najczęściej znakomite.

Żale stare i nowe

Przed kilkunastu dniami, ściślej w sobotę 10 grudnia, oglądałem sobie długo w nocy program kabaretu „Szpak". Program był dość dowcipny, choć w samym rodzaju dowcipu raczej cieniutki, pełen kalamburów i aluzji do nazwisk, bez znajomości których cała zabawa traciła oczywiście sens. Że jednak, jak powiadam, program szedł późno w nocy i to z wozu transmisyjnego, przeto żadnego zgorszenia w imię elitaryzmu być chyba nie powinno — kto chciał, ten sobie oglądał, kto nie chciał, mógł pójść spać.

Skorom jednak tylko, a było to już po północy, wyłączył telewizor, opadły mnie myśli niewesołe. „Szpak" może — myślałem sobie — i teksty reklamowe podchwycić i na wizję się dostać, a „Poddasze" — nie mogło. Nie mogło. Nie mogło dostać się w pełnej swojej urodzie, bo jakieś okrawki kiedyś tam pokazano, ale były to okrawki żałosne i raczej już tylko kompromitujące...

Oczywiście to, co wyżej piszę, nie jest pretensją; jest lamentem nad kabaretem, który już nie istnieje. A nie istnieje między innymi z przyczyn wyłożonych wyżej — ubożuchne bowiem „Poddasze" kalkulowało sobie, że aktorów zapłaci — ewentualnie — łaskawa publiczność, natomiast autorów, tzn. teksty — instytucja, która kupi cały program. Więc na przykład Radio, więc na przykład Telewizja...

Nikt się jednak nie mógł jakoś zdecydować, przebąkiwano tylko to z cicha, to basem nawet, o urokach pracy bezinteresownej i licznych zaletach amatorszczyzny, tak że „honorowych autorów" (a aktorzy też zarabiali grosze) wreszcie diabli wzięli. Wezmą ich jeszcze bardziej, kiedy przeczytają w ostatniej — dla państwa już w przedostatniej — „Polityce" drobne rewelacje na temat apetytów finansowych niektórych pracowników warszawskiej TV. Mianowicie dwaj chwaccy panowie za pytania quizu, który miał być organizowany wspólnie z pewną gazetą, zażądali — oficjalnie — tysięcy pięciu, poczem jeszcze — nieoficjalnie, bez rachunku telewizji — tysięcy dwunastu...

„Polityka" się jednak zgniewała i opublikowała dane na temat finansowych roszczeń wspomnianych panów — i jeżeli ich losy potoczą się niewesoło, będzie to, jak się wydaje, jedyne pokrycie na tytuł telewizyjnego teleturnieju „Prasa to potęga". Tytuł — trzeba przyznać — nieco szokujący, wówczas zwłaszcza, gdy widnieje na małym ekranie; gdyby bowiem prasa była rzeczywistą potęgą, program telewizyjny wyglądałby, śmiem przypuszczać, nieco inaczej...

Tu można powtórzyć szereg pretensji własnych i cudzych. Ot, ostatni — a dla państwa znów przedostatni — „Świat" zgłasza zastrzeżenia pod adresem sportu w telewizji, szczególnie znęcając się nad odczytywaną z karteczki monotonią „Sportowej Niedzieli".

Ot, my mamy takie maleńkie baletowe hobby, które ani rusz nie może doczekać się realizacji, choć w łódzkim ośrodku wszyscy indagowani byli zdania, że rzecz jest jak najbardziej warta grzechu. W sobotnim magazynie „Nie tylko dla kobiet" oglądamy co prawda długonogą panią, która pod dyktando drugiej pani demonstruje nam jakieś gimnastyczne figle, ale to po pierwsze nie jest balet, a po drugie tego typu instruktaże można od lat znaleźć w każdym magazynie kobiecym.

Zresztą nie mamy pretensji ani pod adresem samej idei instruktażu, ani pod adresem realizującej go pani, ani nawet pod adresem nóg tej pani; interesuje nas jednak, czy wielokrotnie zgłaszane przez nas propozycje są aż na tyle niedorzeczne, że należy je zbyć dostojnym milczeniem (na szczeblu warszawskim, od którego rzecz zależy).

Prasa to potęga, ale zdrowy rozsądek warszawskiego cwaniaka dawno już zauważył, że „nie ma mocnych".

Tylko że jest to powiedzenie odwracalne.

JERZY PANASEWICZ

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

KULTURA jest niepodzielna

O tym, że kultura jest niepodzielna, że książka łączy nie tylko poszczególnych ludzi, ale całe narody, a nawet odrębne zbiorowiska różnych plemion i ras, w jedną wspólną rodzinę — może się przekonać każdy, kto choć raz wyjrzał poza granice własnego kraju albo kto czyta pisma i książki zagraniczne, albo wreszcie zetknął się z turystami lub gośćmi zagranicznymi w naszym kraju.

Nigdy jeszcze chyba nasi rodacy nie podróżowali tak licznie i tak często jak w ostatnich latach. W naszych czasach podróże należą, że tak powiem, do dobrego tonu, są niezbędnym elementem właściwie pojętego savoir-vivre'u, nobilitują niejako każdego, kto je uprawia. Człowiek, który w okresie ferii świątecznych, przerw wakacyjnych lub urlopu siedzi murem na miejscu, nie wyrusza do domów wczasowych, nie bierze udziału w żadnej wycieczce po kraju, nie uprawia turystyki na własną rękę lub w zbiorowych eskapadach, organizowanych choćby przez „Orbis", uważany jest po prostu za dziwoląga, za typ zapóźniony i anachroniczny. Zaściankowość i prowincjonalizm to pojęcia dziś najbardziej pejoratywne, kulturalnie dyskwalifikujące.

No, bo jakże inaczej, niż tylko humorystycznie lub z politowaniem traktować człowieka, który w epoce udogodnień i ułatwień komunikacyjnych (wagonów sypialnych, lux-torped, autobusów, auto-stopów i samolotów) nie wyściubia nosa poza swoje miasto, powiat lub gminę, nie jest ciekawy innych okolic, właściwości i egzotyki własnego kraju? Jakże inaczej traktować, niż tylko jako przedpotopowego mamuta lub zaśniedziałego kołtuna, człowieka, który w epoce radia, telewizji i strumienia różnorodnych książek podróżniczych, krajowych i tłumaczonych z obcych języków, opisujących inne kontynenty, ludzi innych ras i obyczajów, nie ciekaw jest szerokiego świata poza ciasnym kręgiem własnego środowiska, w którym tkwi całe życie jak mól w staromodnej zatęchłej kanapie?

A jednak są jeszcze tacy ludzie. Ale to już tylko żałosne resztki, które czas rozdmuchuje szybko jak kurz. Na ogół ludźmi miota jakaś zdrowa pasja podróżowania, wycieczkowania, dociekliwego poznawania bliższych i dalszych okolic własnego kraju, innych ludzi, innych zwyczajów, niezapomnianych widoków natury, podziwiania niezwykłej w każdej porze roku przyrody, odmiennej aury i urody ziemi ojczystej. Ta zdrowa pasja, ta chęć odmiany wewnętrznej doznań, odświeżenia wzruszeń i rozszerzenia zakresu pojęć i wiedzy o życiu wyraża się także w manii podróży zagranicznych, a w wypadkach niemożności ich zrealizowania — w szlachetnym nałogu czytania dzieł podróżniczych rodzimych i obcych. Ten powszechny głód wiedzy o szerokim świecie jest główną cechą ludzi naszego czasu, znamieniem ich nowoczesności.

Co to znaczy? To znaczy, że na naszych oczach rodzi się nowy typ człowieka o kulturze uniwersalnej, złożonej z elementów rodzimych różnych narodów i ras, zamieszkujących glob ziemski, a tworzących w coraz szybszym i nieuniknionym procesie historycznym jedną, wielką cywilizacyjną rodzinę ludzką.

Czy tak nie jest? Czy taki proces nie zachodzi? Kto nie czyta specjalnych książek na ten temat, niech rozejrzy się uważnie dookoła. Niech otworzy radio, otworzy telewizor. A spotkania z zaproszonymi gośćmi i wycieczkami zagranicznymi? Kilka dni temu w naszym mieście gościliśmy delegację literatów chińskich. Mówili nam, że przetłumaczyli ostatnimi laty przeszło 80 autorów polskich, jeden z literatów chińskich opowiadał, jak wielkie wrażenie zrobił na nim Mickiewicz, którego zaczął tłumaczyć, a drugi o przemożnym wpływie na jego twórczość powieści Henryka Sienkiewicza. Oczywiście, że Kopernik, Chopin i Curie-Skłodowska są Chińczykom niemniej bliscy, niż nam Polakom. I nagle pomyślałem sobie: jakże mała jest Ziemia, jakże bliskie i wzajemnie sobie znane są dzisiaj narody, które jeszcze wczoraj były tak odległe i tak sobie obce! A wszystko to stało się i dzieje się dzięki temu, że kultura wskutek wspólnych dla całego świata cywilizacyjnych zdobyczy staje się coraz bardziej niepodzielna, uniwersalna, powszechna, powiedziałbym, globalna.

Nowoczesnego człowieka wychowują i kształtują nie tylko elementy jego rodzimej kultury, ale najżywotniejsze, humanistyczne wartości kulturalne innych narodów. My, Polacy, wzruszamy się nie tylko Mickiewiczem i Chopinem, ale także Puszkinem i Mozartem. Chińczycy czytają nie tylko Konfucjusza i Mao Tse-tunga, ale także Sienkiewicza i Lenina, a zdobyczy naukowych Curie-Skłodowskiej, Einsteina i Pawłowa korzystają wraz z innymi narodami podobnie jak my. Stanowimy więc z nimi, podobnie jak i z innymi narodami, jedną rodzinę o coraz większej liczbie cech wspólnoty kulturalnej. Tylko siły nienowoczesne, wsteczne, zapóźnione w rozwoju przeczą tej wspólnocie kultury, grożą jej rozbiciem, straszą widmem zamętu, wojny i ostatecznej zagłady.

Ale wspólnota, która wynika z jednoczącego charakteru kultury, obroni świat przed zagładą, ocali kulturę i zabezpieczy jej dalszy rozwój. Kiedy czytam takie książki, jak ostatnio wydane przez „Czytelnika" **„Myśli o dawnej Polsce"** Pawła Jasienicy, **„Jak powstał „Doktor Faustus"** Tomasza Manna lub **„Tropiciele niebieskich szlaków"** E. J. Pokornego w wydaniu „Książki i Wiedzy", a zwłaszcza **„Nocny lot — Ziemia, planeta ludzi"** Saint-Exupery'ego w wydaniu PIW, coraz bardziej utwierdzam się w tym przekonaniu. W czasie świąt warto sięgnąć do tych książek, krzepiących wiarę w człowieka i niepodzielność jego kultury.

Słyszeliśmy, że ma być powtórzony...

Przygotowany przez STS „Pstrąg" a bardzo udatnie zrealizowany w łódzkiej TV wodewil balucki „Siódme nie flatruj" — podobał się, o ile wiemy, telewidzom. W każdym bądź razie na pewno nie było gniewnych telefonów, a to już dużo, jako że telewidz chętniej oburza się, niż chwali.

Prezentujemy przeto dwa zdjęcia z telewizyjnej realizacji tego wodewilu, opatrując je podobizną telewizyjnego reżysera widowiska — Tadeusza Worontkiewicza. Reżyserowi należą się zresztą ponadto gratulacje.

Aha — słyszeliśmy, że wodewil ma być powtórzony. Może w święta? Bardzo prosimy!

Szykują na święta

Przede wszystkim wypada lojalnie ostrzec czytelników, aby nie wierzyli zbytnio wszelkim zapowiedziom z naszymi włącznie — jedynie gazety codzienne, które dostaną program na dzień — dwa przed świętami, mogą podać wiadomości możliwie ścisłe.

Wg naszych informacji program świąteczny ma być wszelako bogaty i różnorodny. W **wieczór wigilijny** o godz. 18.30 mamy na przykład słuchać „Pastorałek i kolęd polskich" w wykonaniu słynnego chóru Stuligrosza z Poznania (chór chłopięcy i męski).

O godz. 22.00 obejrzymy ponoć „Śluby panieńskie" Fredry, a następnie film produkcji francuskiej „Gość z zaświatów".

W pierwszy dzień świąt program ma zacząć się o godz. 12.20 i trwać aż do północy. Mamy obejrzeć w nim film z cyklu Disneyland, widowisko dla dzieci wg Marii Kononickiej „Na jagody", transmisję operetkową i film francuski „Chcę być gwiazdą" — to tylko, oczywiście, niektóre pozycje programu.

W drugi dzień świąt program zaczyna się o godz. 11.15 polskim filmem archiwalnym „Ada to nie wypada". Radzimy obejrzeć.

W programie ponadto balet dziecięcy, Tele-Echo, program rozrywkowy „Co kto lubi" i wreszcie film produkcji USA — „Nauczyciel tańca".

Zwracamy czytelnikom uwagę, że znaczna ilość pozycji idzie z tele-kina, bądź z wozu transmisyjnego. Czyli że możemy żywić nadzieję...

„Czterej sprawiedliwi"

Miłośnicy „Kobry" otrzymali w ostatnim czasie nową atrakcję — półgodzinne angielskie filmy telewizyjne z cyklu „Czterech sprawiedliwych". Ostatnio oglądaliśmy „Katastrofę", przedtem „Statek niewolników" itp.

Filmy ze wspomnianej serii nie są zapewne jakimś fajerwerkiem sztuki, odznaczają się jednak nagół dobrą obsadą aktorską i kapitalnym tempem, którego na pewno winni się uczyć od Brytyjczyków nasi rodzimi twórcy „kryminałów".

ANDRZEJ BERKOWICZ

Dzieje łódzkich fortun (III)

Majątek z perkalików

JAK SIĘ ROBI FORTUNĘ?

Dzięki świadectwu burmistrza Łodzi z 1833 roku wiemy, że ówczesny stan majątkowy Geyera w budynkach, maszynach, sprzętach fabrycznych i zapasach towarów przedstawiał wartość 143.317 złotych polskich. Zatrudniał wówczas Ludwik Geyer 60 warsztatów tkackich w Łodzi i około 100 w Pabianicach. To już coś znaczyło. Nikt wówczas nie policzył koszul Ludwika Geyera, ale z całą pewnością posiadał ich już znacznie więcej niż w 1829 roku.

Po powstaniu listopadowym na placu boju w łódzkiej bawełnie Ludwik Geyer zostaje sam. Powstanie zrujnowało większość tkaczy, on sam natomiast niewiele miał wówczas do stracenia. Co prawda później, po latach, będzie Ludwik Geyer pisał do księcia-namiestnika, że w wyniku powstania stracił 46.500 rubli srebrem, ale należy to raczej przypisać jego fantazji, która gdy chodziło, jak w tym wypadku, o umorzenie długów, nigdy go nie zawodziła.

W czasie powstania Ludwik Geyer przebywał nie w Łodzi, a w Warszawie. Zjawia się znowu w Łodzi w sytuacji nader dlań korzystnej. Wendisch umiera i jego przędzalnię przejmuje rząd. Inny wielki przedsiębiorca Lange w tajemniczych okolicznościach znika z Łodzi, Rundzieher i Potempa są już bankrutami. Plac Potempy sąsiaduje z parcelą Geyera, wobec czego kupuje go od niego, dając mu jednocześnie stanowisko buchaltera w swojej firmie.

Geyer zaczyna się wówczas rozpychać w Łodzi... Początkowo był właścicielem części placu 284, teraz budując płuczkarnię, zajmuje go cały, zdobywając w ten sposób również i staw, przylegający do placyku. Wszystko to robi bez zgody komisji budowlanej (która nawet karze mandatami karnymi jego murarza i cieślę), naraża się na konflikt z burmistrzem, ale w końcu Geyer zwycięża.

W tymże roku 1833, kiedy to Geyerowi przyszło płacić karę, w wyniku przegranego procesu defraudacyjnego, sprowadza on z Wiednia maszynę walcową do drukowania perkalików.

Maszyna taka kosztowała go niemało, wraz z kosztami sprowadzenia aż 149.800 złotych polskich. Wydatek ten jednak po strokroć się opłacił. Teraz właśnie możemy prześledzić, jak się robi fortunę. Oczywiście, nie będzie to uniwersalny przepis, ograniczymy się jedynie do pokazania, w jaki sposób Ludwik Geyer zrobił fortunę.

Geyer wyczuł hossę na perkaliki. Po wojnie zubożała ludność mogła kupować jedynie tanie bawełniane perkaliki, których barwność stanowiła dodatkową atrakcję. Wyroby bawełniane, których eksport do Rosji zakazano, mogły przecież liczyć jedynie na rynek krajowy. I ten właśnie rynek Ludwik Geyer postanowił zdobyć.

Konkurencji nie potrzebuje się obawiać, wprost przeciwnie, zubożali tkacze miejscowi i okoliczni, których nie stać na zakup drukarni, dostarczają mu perkalu surowego. Geyer płaci po 15 groszy za łokieć surowego perkalu, który po wydrukowaniu sprzedaje za złotówkę. A jego maszyna drukuje dziennie około 50 sztuk perkalu, po 9 łokci każda. Na wszelkie protesty tkaczy Geyer pozostaje głuchy. Tkacze żądają, by podwyższył cenę chociaż o 2—3 grosze na łokciu, już by im się wtedy produkcja opłacała, ale Geyer wykorzystuje swoją pozycję monopolisty. Boi się jednak, że w wypadku polepszenia się koniunktury, tkacze mogą się przerzucić na inne wyroby, na które na razie nie mają popytu. Próbuje więc ubezpieczyć się na taki wypadek i sprowadza z zagranicy za zniżonym cłem 100 centnarów surowego perkalu. Wobec protestu tkaczy władze odmawiają tego Geyerowi. Wówczas postanawia wybudować własną przędzalnię i tkalnię, by w ten sposób uniezależnić się od tkaczy.

Nie wiemy, jakie zyski osiągał Ludwik Geyer od upadku powstania do roku 1833. Musiały być jednak znaczne, skoro stać go było na tak kolosalne przedsięwzięcie jak budowa przędzalni. Wyzysk tkaczy opłacił się więc jak najbardziej.

LUDWIK GEYER PISZE DO CESARZA

Gdzieś tak od roku 1834, gdy Ludwik Geyer zdobywa już samodzielność finansową i zaczyna snuć rozmaite plany — właśnie wtedy pokazuje swój rozmach.

Proponuje na przykład rządowi, by wydzierżawił mu dochody z cła pobieranego na komorach celnych Królestwa Polskiego. Jak na człowieka, który jeszcze niedawno miał proces właśnie o łamanie przepisów celnych, było to śmiałe żądanie.

W owych czasach szerzyło się na wielką skalę przemytnictwo taniej zagranicznej przędzy bawełnianej. Granice nie były dokładnie strzeżone i tak zwana „defraudowana przędza" stanowiła groźną konkurencję dla Geyera (który miał przywilej sprowadzania przędzy za zniżonym cłem). Geyer proponuje więc rządowi, że własnym kosztem będzie strzegł granic, a ponadto będzie wpłacał skarbowi przeciętny dochód z opłat celnych plus 20 proc. od zysku, gdyby taki osiągnął.

W tym samym czasie domaga się również od rządu wprowadzenia zakazu importu „perkalików kolorowych i innych wyrobów drukowanych". W obu wypadkach władze ustosunkowują się negatywnie do próśb Geyera, zwłaszcza w drugiej sprawie, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że przemawia przez niego interes osobisty.

W jednej tylko sprawie, po licznych kołataniach do rozmaitych urzędów Ludwik Geyer osiąga sukces. Udaje mu się nabyć majątek ziemski Ruda, będący własnością rządową. Na liczne podania Geyer niezmiennie otrzymywał odpowiedź „iż sprzedaż dóbr rządowych z Woli Najwyższej jest wstrzymana". Postanawia wobec tego odnieść się do podnóżka Tronu. W liście wysłanym z Warszawy w dniu 28 maja 1835 roku tak pisze do cesarza:

„Najjaśniejszy Panie! Nie wziąłem dotąd i grosza zapomogi na wzniesienie zakładu, który dziś pierwsze trzyma miejsce w Królestwie. Zatrudniam przeszło 600 ludzi w mojej fabryce i daję im chleb, upiększyłem miasto Łódź wspaniałymi gmachami i doprowadziłem to miasto do rzędu porządnych fabrycznych miast w Królestwie. Włożyłem i wykładam ogromne kapitały na budowle i na zakupywanie machin zwyczajnych i parowych, aby nic nie pozostawić do życzenia.

Nie utraciłem względów do łaski Najjaśniejszego i Najmiłościwszego Pana bom w niczym nie należał do zaburzeń, które zakrwawiło Jego Ojcowskie serce, ale owszem na czele moim jako pierwszego obywatela osady, zachowany był porządek i wierność do prawego Rządu, którymi śmiało chlubić się mogę; i z tych powodów mam nieomylną nadzieję, że Wasza Cesarsko-Królewska Mość dla dobra przemysłu i skarbu rzeczony folwark, z wolnej ręki, odsprzedać mi rozkaże. Zostaję Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości Najwierniejszym poddanym".

Tak pisał Ludwik Geyer do Mikołaja I, który w dziejach Polski cieszy się najlepszą opinią. Majątek Ruda, chciał nabyć, by właśnie tam postawić przędzalnię. Długo to jednak trwało, nim Najjaśniejszy Pan przychylił ucho do próśb swego najwierniejszego poddanego. A Ludwik Geyer nie miał czasu czekać, zanim więc uzyskał zezwolenie na zakup Rudy, buduje przędzalnię na placu 283 przy ulicy Piotrkowskiej. Na tym samym placu, który zakupił od swojego obecnego buchaltera Potempy.

Gdy w rok później przyszło zezwolenie na sprzedaż Rudy, Geyer budował już pełną parą nową przędzalnię. Jeśli więc w ogóle wspominamy o całej sprawie majątku Ruda, to tylko dlatego, że jego późniejszy zakup stanie się dla Ludwika Geyera powodem tysiąca kłopotów i nieszczęść. Ale na razie szczęście mu sprzyja.

OPINIA, KTÓRA OTWIERA KASĘ BANKU

Na Piotrkowskiej 283, gdzie dzisiaj zwraca uwagę tabliczka z napisem: „Tu uruchomiono w 1839 roku pierwszą machinę parową w Łodzi", znajduje się dzisiaj Muzeum Włókiennictwa. Próżno by jednak szukać w tym muzeum owej pierwszej machiny parowej, której sprowadzenie wywarło tak kolosalny wpływ na dalsze losy Łodzi.

Ta pierwsza machina parowa była ogromna, zajmowała w fabryce aż 3 kondygnacje, toteż gdy w 1890 roku Geyerowie przebudowali zakłady, wysłużona już staruszka poszła na złom. O jej historyczne wartości Geyerowie mało dbali, albo też szkoda im było zmarnować tyle cennego metalu, z którego można było jeszcze wytopić sporo pieniędzy.

Zapewne więc i Ludwik Geyer nie zdawał sobie sprawy z przewrotu jakiego dokona swoją machiną parową; należy przypuszczać, że raczej upatrywał doraźne zyski. Nareszcie uniezależni się od tych tkaczy, którzy ośmielają się pisać skargi na niego. Teraz im dopiero pokaże! Do tej pory głównie się zajmował drukowaniem perkalików; w 1835 roku 682 tys. sztuk, w 1836—630 tys. sztuk, w 1837—920 tys. sztuk. W tych latach jego warsztaty tkackie w ogóle nie produkują perkalu białego, cały surowiec zakupuje od miejscowych i okolicznych tkaczy. Nastręcza mu to jednak kłopoty, bo tkacze mając już dość głodowych stawek Geyera, przerzucają się na inny rodzaj produkcji; wykonują kolorowe batyściki, muślin, nankin, dymy itp. Już nie więcej niż 15 tkaczy zajmuje się produkcją surowego perkalu.

W 1835 Ludwik Geyer wysyła zagranicę swego przedstawiciela Cezara Bormanna, który ma załatwić dostawę maszyn. Nie tylko jednak maszyn przędzalniczych i machiny parowej, ale również 180 mechanicznych warsztatów tkackich, napędzanych maszyną parową. Ale o tym Ludwik Geyer w osadzie Łódka na razie nic nie mówi. Boi się, że protesty tkaczy zepsują całe przedsięwzięcie w zarodku. Głośno natomiast rozpowiada, że sprowadza maszyny przędzalnicze i tkacze już z góry się cieszą, że teraz bez kłopotów będą mogli zakupywać przędzę.

Cezar Bormann zamówił maszyny dla Geyera w Niderlandach, w sławnej firmie braci Cockerill. 1 kwietnia 1837 roku został z nimi podpisany kontrakt. Szybko budowali bracia Cockerill, bo już 30 sierpnia 1837 roku zawiadomili Geyera, iż maszyny są gotowe, a firma A. Simonet and Corten w Antwerpii przygotowała statki do ich przewozu. Maszyny te na razie dostarczono z Seraing i Liege gdzie mieściły się zakłady Cockerillów, do portu w Antwerpii, dalszą drogę do Gdańska miały odbyć morzem. W odstępach parotygodniowych opuszczają teraz port antwerpski statki z maszynami do firmy CA. Pantzer w Gdańsku. Firma ta eksportowała dalej maszyny Wisłą do Nieszawy na 10 łodziach. Z Nieszawy do Łodzi transport odbywał się wozami. Po drugim transporcie Geyer, zaskoczony terminowością dostaw, pisze do Cockerillów, aby resztę transportu odłożyli do wiosny następnego roku. List jego minął się jednak w drodze z zawiadomieniem braci Cockerill, w którym mu donosili, że korzystając z łagodnej zimy, wysłali ostatnie 410 pak na staku „Iduna" pod kapitanem Groenewaldem do Gdańska. Ten transport przybył tam 22 stycznia 1838 roku.

List Cockerilla napełnił Geyera przerażeniem. Tak szybka dostawa maszyn stawiała go w bardzo krytycznym położeniu. Umówił się z panami Cockerillami, że będzie im płacił wekslami za pośrednictwem swego bankiera w Warszawie, Jakuba Flatow. Weksle te jednak miały bardzo krótki termin płatności, gdyż Geyer nie przypuszczał, że bracia Cockerill tak się szybko uwiną. Opiewały one na niebagatelną sumę 516.421 złp 7 gr. Ale to jeszcze nie wszystko, dochodziły przecież również koszta transportu, które wyniosły 100.266 złp 20 gr. Była to dla Ludwika Geyera suma przeogromna. Wystarczy powiedzieć, że wartość wszystkich wyrobów wyprodukowanych przez zakłady geyerowskie w 1838 roku wyniosła 843.200 złp.

Wraz jednak ze sprowadzeniem maszyn kończy się okres niełaski, w jaką u władz popadł Geyer od czasów swojego procesu defraudacyjnego. Komisja rządowa, która do tej pory uważała go za człowieka nierzetelnego, któremu trzeba patrzeć na ręce, radykalnie zmieniła zdanie. Referendarz stanu, komisarz fabryk Lelowski taką w 1838 roku wystawił laurkę Geyerowi:

„Względem Geyera przyznać należy, iż w tym względzie nikt nad niego większych przysług krajowi nie zrobił, a nawet w ogóle ani jeden zakład w takiej jak jego obszerności nie powstał bez żadnej od Rządu pomocy. — On własnym tylko przemysłem doprowadził swoje zakłady do przeszło milionowej wartości; teraz nawet zaprowadzając przędzalnię i tkactwo mechaniczne wprzódy wszystko urządził i dopiero o dalszą pomoc dla doprowadzenia do skutku swoich zamiarów przychodzi do Rządu, czego dotąd nikt nie uczynił. Zasługuje przeto Pan Geyer na szczególniejszą opinię i względy rządu".

Taką, jak byśmy powiedzieli dzisiaj, opinię wystawiono Geyerowi w 1838 roku, to znaczy w tym roku, do którego to w myśl kontraktu osiedleńczego zobowiązywał się wystawić 100 warsztatów tkackich. Ludwik Geyer ma już ich 180, ale to wcale nie takich, o jakich myślał komisarz Tykel, zwykłych, ręcznych. To są warsztaty samotkackie napędzane siłą machiny parowej.

Opinia komisarza Lelowskiego otwarła panu Geyerowi kasę Banku Polskiego. W ten sposób uzyskał kredyty, którymi spłacił braci Cockerill, a Bank „zyskał" klienta, o którym po latach jego funkcjonariusze powiedzą:

„Jest bardzo korzystnym dla Banku, że już nie będziemy mieli żadnych interesów z panem Geyerem".

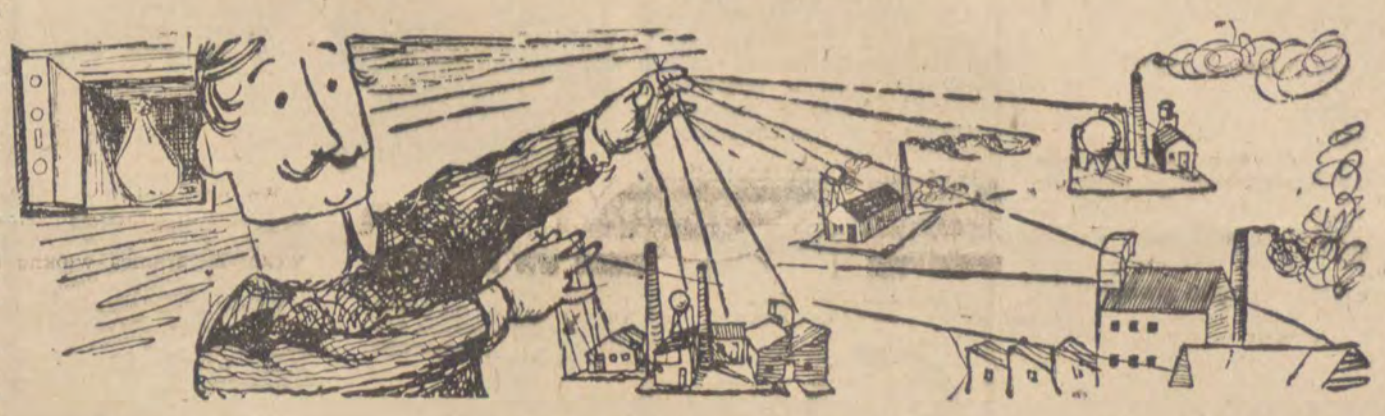

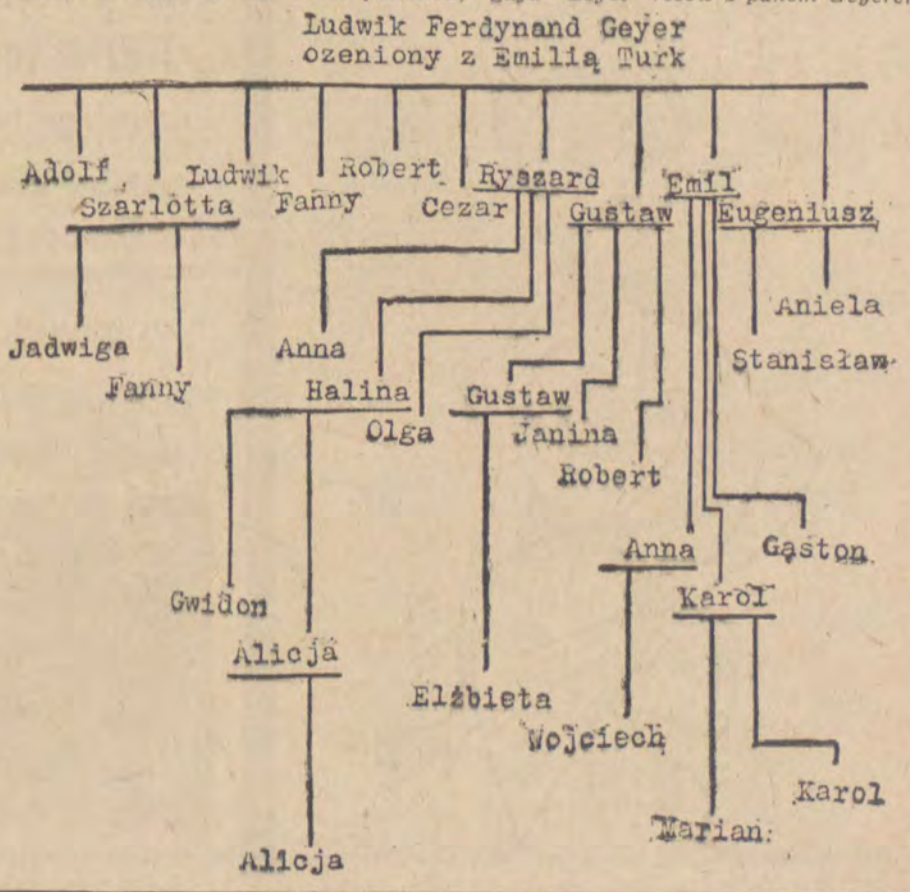

poqtosy

KUPIĆ–NIE KUPIĆ
wystarczy czytać

JUBILEUSZOWA WYSTAWA

GRAFIKA AMERYKAŃSKA

Dzieło sztuki ma wywoływać u odbiorcy określone przeżycia. Doskonałość dzieła to jego siła oddziaływania. Prawda absolutna jest fikcją, trzeba starać się uchwycić aktualny problem życiowy. Forma ma być podporządkowana treści. Artysta ma prawo do pełnej swobody twórczej.

G. WASHINGTON-
STALORYT
BARWNY

KONKURS

Kto odpowie na pytania

WYJEDZIE

NA TRZYTYGODNIOWY POBYT

DO MEKSYKU

NA KOSZT własny.

(1)

Dlaczego rano, Obywatelu, wstajecie z łożnicy w kwaśnym humorze?

(2)

Dlaczego (no proszę) przesiadujecie godzinami w kawiarni, zamiast wziąć się do roboty nad sobą, mój gołąbku?

(3)

Dlaczego, pijąc wódkę i myśląc z właściwym Wam rozrzewnieniem o dzieciach, uważacie, że czekolada jest droga?

(4)

Po co oglądacie obrazy Artura Grottgera?

(5)

Jaka przyczyna decyduje głównie o tym, że w naszym kraju istnieje wiele rodzin wielodzietnych.

(6)

Dlaczego, gołąbko, nie cerujecie pończoch, tylko piszecie utwory dramatyczne?

rozwiązanie konkursu
i lista zdobywców
pierwszych nagród
Już w następnym numerze
Pogłosów

...A w Łodzi stokrotki na śniegu

Obecna zima stale zaskakuje. W jednym z łódzkich parków — im. Poniatowskiego, na trawnikach pojawiły się kępy stokrotek. W zestawieniu z pierwszym tegorocznym śniegiem — tworzą one niecodzienny widok.

Co zapowiada Łódzka Telewizja na najbliższe dni

17.20 „Kreadzione nie (L) lok.", 18.20 „Klub Myszki" (W), 18.35 Program dla dzieci: 1) Miś z okienka (W), Przerwa, 19.30 Dziennik i zajmy (W), 20.00 „Trust m

odpowiada" (W), 20.35 nik wyższy od krajowego publ.) (L) lok., 20.50 „Chri w Ameryce", film dok. 22.00 d. c. Trusu możg 22.10 Ostatnie wiadomo

Młodzież jest trudna

walka z wagarami i wzrostem przestępczości wśród nieletnich

Czy dojdzie do spotkania Kubacki-Pietrzykowski?

NA EKRANACH

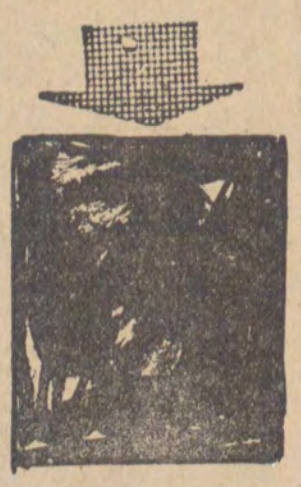

Pocieszająca wiadomość dla

studentów mieszkających w Arturówku

35% ZNIŻKI DO TEATRÓW

dla Prenumeratorów i Czytelników

ZAŚWIADCZENIE

na otrzymanie biletu ulgowego ze zniżką 35% do TEATRU NOWEGO

BIBLJOTEKA DZIEC WYBOROWYCH

Uwaga: Niniejsze zaświadczenie należy złożyć w kasie teatru przy nabywaniu biletu.

Apel do społeczeństwa miasta Łodzi oszczędzaj gaz

Łódzkie ZOO

walczy o planowanie przyrostu naturalnego

KRONIKA WYPADKÓW

Dwie gołe baby kąpały się w jednej wannie. W pewnej chwili zderzyły się poślad kami i to tak klasnęło, że nie macie pojęcia.

poqtosy

Ogród fraszek

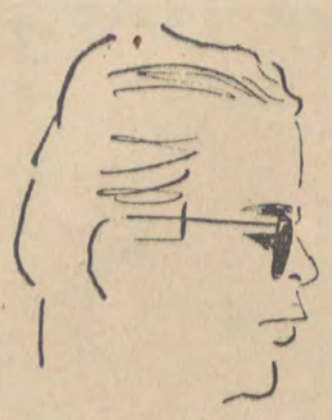

Rys. Piechal

Igor Sikirycki w karykaturze Mariana Piechala

KOMPLEKS MŁODSZOŚCI

Młodszy poeta za to, żem starszy, się ciska,
Miotając we mnie ostre drwiny i wyzwiska.
W niczym mi nie jest dłużny, powiada. Lecz kłamie:
wszak, by powstał, pomogłem przecież jego mamie.

DO M. L.

Chciałbym od Was otrzymać życzenia
n i e o g r a n i c z o n e g o natchnienia.

DO TADEUSZA PAPIERA

Pisz, nie bądź leniwy:
papier jest cierpliwy.

O HORACYM SAFRINIE

Kiedy Horacy dowcipem rusza,
zaraz w objęcia padam Morfeusza.

O PEWNEJ POETCE ŁÓDZKIEJ

Każdy jej z utworów nowych
ma ręce, nogi — prócz głowy.

O EDWARDZIE KAŹMIERCZAKU, PRZEWODNICZĄCYM PRN m. ŁODZI PO LATACH

Zastał miasto obdrapane,
a zostawił m a l o w a n e.

Ubaw

Każdy z nas pnie się po swoich dniach
Każdy z nas pnie się po swoich dniach
pnie się po dniach
ba
ku
Ja
nie
bi
dra
po
jak
jak po dra bi nie Ja ku ba
jak po dra ku ba

aż jeden z tych dni jak szczebel trach
aż jeden z tych dni jak szczebel trach
jak szcze bel
trach
i
wtedy
kończy
się
ubaw
i
wtedy
kończy
się
ubaw
koń
czy
się
u
baw.

MARIAN PIECHAL

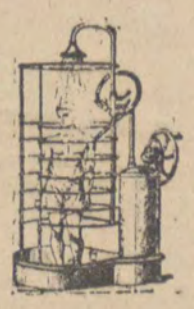

Woda

Co to jest woda? W naturze
istność najbardziej rozlazła,
rzec można: anarchistycznie
proteuszowy fantazmat.

Konformistycznie uległa,
przystosowawczo leniwa,
przybiera zawsze kształt naczyń
albo się w bezkształt rozpływa.

Zależna od byle trafu,
od byle wiatru z przestworzy,
o niczym nie decyduje,
niczego sama nie tworzy.

Ktoś powie, że krople deszczu,
ktoś powie, że gwiazdki śniegu —
ale to chłód lub mróz tylko
tak urabiają je w biegu

z nieba na ziemię. Wystarczy
trochę słonecznej pogody,
a gwiazdki i deszcz parują...
I gdzież tu zasługa wody?

Zastanów się, Czytelniku,
o czym tu mowa lub o kim.
Czyżby o wodzie? Odpowiedz
mi po namyśle głębokim.

Fraszki

NA GRAFOMANA

Nie myśl, żeś dosiadł już pegaza
I nie wznoś głowy tak wyniośle.
Przyjrzyj się swemu rumakowi —
Dostrzeżesz, że ma uszy ośle.

NA TELEWIZJĘ

Program cacy, program śliczny,
Lecz zanadto ma-kobryczny

LOS

Oto jak sprawiedliwie
Los skarby rozdziela:
Polska Anglii — Conrada,
Anglia Polsce — Bidwella.

FRASZKA LUDOWA NA MAJĘ BEREZOWSKĄ

Rysunkami pani Maji
Bardzo głodny się nie naji.

Rys. Igor Sikirycki

Marian Piechal w karykaturze Igora Sikiryckiego

IGOR SIKIRYCKI

Myśli i myślątka

Choroby niedalekiej przyszłości: zapaleniu mózgu elektronowego i ciąża pozakosmiczna.

Gdyby ludzie szyli dla siebie ubrania tylko z własnych dobrych uczynków, klub nudystów byłby najliczniejszą organizacją na świecie.

Pewnemu poecie pisującemu złote myśli ukradziono wieczne pióro ze złotą stalówką. Od tej pory pisuje zwykłym ołówkiem reportaże.

Marzenie pewnego fryzjera: uczesać myśli Stanisława Jerzego Leca.

Pierwsze wybory królowych piękności odbyły się w Ameryce Północnej. Oto ich wyniki: Mis — Sissippi i Mis — Souri.

Stryjaszek mój miał kiedyś skromny zakład prostowania błyskawic, ale majątek zrobił otwierając fabrykę gwiazdek do koniaków.

Taniec kadry narodowej: kadryl.

Czyżby żona Lota zamieniła się w słup soli karlsbadzkiej?

Słuchając niektórych audycji pt „Runda z piosenką" odnoszę wrażenie, że nazwa powinna brzmieć: „Irunda z piosenką".

Przypowieść o głupocie

(Z I. Franko)

Ptaszyna nieszczęśliwa w podstępne wpadła sidła,
Już zbliża się myśliwy, połamie kruche skrzydła...
Wtem drżące ptaszę rzekło: „Spójrz łowco na mnie z bliska.
Kruszynką jestem drobną, cóż na mej śmierci zyskasz?
Więc wypuść mnie i pozwól w słoneczną lecieć drogę,
Trzy bardzo dobre rady za wolność dać ci mogę!"
Uśmiechnął się myśliwy, pogładził wąs swój kruczy:
„Popatrzcie, taki drobiazg, a chciałby mnie już uczyć!
No cóż, tak zrobię ptaszku jak serce mi rozkaże,
Za trzy rozsądne rady wolnością cię obdarzę!"
„Nie żałuj więc przeszłości — maleńki ptak zanucił —
Minione zło i dobro przenigdy już nie wróci..."
Tu łowca się zamyślił: „To prawda jest nienowa,
Co przeszło już nie wróci..., więc czegóż tu żałować?"
A ptaszek śpiewał dalej, głos jego drżał w przestrzeni:
„Gdy w życiu coś już zrobisz, nie zdołasz tego zmienić..."
Zadumał się myśliwy rozejrzał się dokoła:
„Masz rację, gdy coś zrobię to cofnąć już nie zdołam."
Zaśpiewał ptaszek znowu: „W niezwykłe nie wierz wieści,
Ni w cuda, które w głowie nie mogą się pomieścić!"
Uśmiechnął się myśliwy: „Któż by tam wierzył brednion?
A teraz cię mój ptaszku nagrodzę odpowiednio.
Twe rady mądre, proste, więc lecę i bacz byś więcej
Podobnych nie miał zmartwień i nie wpadł w moje ręce".
Uleciał ptaszek w górę i siadłszy na gałęzi
Szyderczo zaświergotał: „Już nie dam się uwięzić!
Oj, głupiś ty myśliwcze i pewnie to cię zdziwi,
Żeś mając mnie w swym ręku mógł tego się pożywić.
Cudowna rzecz ci wyznam, nie skryję tego dłużej,
W żołądku mym jest perła większa niż jajko kurze."
Myśliwy jęknął głucho o potem rzekł z zapałem:
„Więc ja ten skarb ogromny przed chwilą w ręku miałem!"
Pod drzewo podbiegł szybko, chcąc wdrapać się na gałąź
Te z ptaszkiem, lecz bez skrzydeł to mu się nie udało.
Więc błagał przez łzy: „Ptaszku! Ptaszyno moja droga!
Wróć! Ojcem twoim będę, zaklinam cię na Boga!
Klateczkę sam ci zrobię przepiękną, szczerozłotą
I każde twe życzenie wypełnię wnet z ochotą!"
A ptaszek: „Głupcem byłeś i głupcem pozostałeś.
O wszystkich moich radach od razu zapomniałeś.
Zaledwiem z twojej ręki na wolność poszybował,
Tyś, głupcze, swego czynu natychmiast pożałował.
Marzyłeś by mnie schwytać, skakałeś jak szalony,
Jak gdybyś chciał na nowo przywrócić czas miniony.
A wszystko to dlatego, żeś w kłamstwo w mig uwierzył,
Że we mnie, w małym ptaszku, ogromna perła leży".

„MAŁY KONKURS"

Oto dwie fraszki i dwa limeryki. Autorzy: Piechal i Sikirycki. Zadanie czytelników polega na ustaleniu autorstwa utworów. Prosimy o napisanie na kartce pocztowej: która fraszka i który limeryk wyszły spod pióra Piechala, a które Sikiryckiego. Odpowiedzi do 7 stycznia. Nagrody – książki z dedykacjami autorów.

DO JANA SZTAUDYNGERA

Ach, jak mi Ciebie żal,
ach, jak mi żal, Sztaudyngerze!
Wszak Ciebie każda z dam
ju[4] tylko za fraszkę bierze.

NA JANA IZYDORA SZTAUDYNGERA

Gdy w sztuce miłosnej
Przyjdzie potknięć pora
Wtedy Jan znużony
Wzywa Izydora.

FALSZYWY HRABIA

Z pewną panią scertolił się hrabia,
ale taki, co to psy obrabia.
Gdy go ktoś zdekonspirował,
tak się przed nią sumitował:
że on hrabią był tylko na wabia.

LIMERYK

Pewien karzełek w Toronto
Miał w banku ogromne konto,
By sprawdzić jego wysokość
W lunetę uzbrajał oko ść-
iśle między czwartą a piątą.

FILMOWE RODZYNKI
sezonu 1961

Był kiedyś taki dobry zwyczaj, że na okres świąteczny, ostatni tydzień grudnia — kina oferowały widzom specjalnie ciekawy repertuar, szlagierowe premiery. Przeważnie filmy rozrywkowe, porcję eskapizmu, uśmiech i emocję. Kiedy się czuje na wątrobie skutki świątecznego obżarstwa, trudno trawić jeszcze na dodatek wielkie problemy...

Niestety ,kiedy piszę ten felieton, nie zanosi się na rewelacje repertuarowe w okresie świąt; cały grudniowy program kin upływa pod znakiem przeciętności, dominują filmy średnich ambicji i średniej rozrywki. Nie znaleźliśmy w aktualnym repertuarze nic, co by usprawiedliwiło postawienie stempelka „Film miesiąca — grudzień 1960".

Cóż więc — jeśli chwilowo brak na ekranach filmowych rodzynków, dajmy więc przynajmniej na łamach „Mieszanki" — rodzynki obiecywane, zapowiadane przez CWF na najbliższe miesiące. Uprzedzamy — nie jest to zestaw filmów najwybitniejszych, ocenę zostawmy recenzentom i... publiczności — tu chcieliśmy po prostu przedstawić kilka pozycji, które z różnych względów wydają się ciekawe. Bo na przykład każdy pójdzie chętnie na film z Giuliettą Massiną, albo zechce porównać powieść Hemingwaya z jej obrazowym przetworzeniem, nie myśląc na razie o randze artystycznej adaptacji.

* * *

Rodzynki — rodzynki, ale jakie jest ciasto? Przecież nie owe kilka czy kilkanaście najciekawszych tytułów świadczyć będzie o całym repertuarze, o jego „smaku" dla filmowego konsumenta.

CWF zapowiada: w roku 1961 obejrzymy około 200-tu filmów. W tym — 20 panoramicznych. W tym — po raz pierwszy w dziejach naszej powojennej kinematografii — znajdzie się powyżej 20-u premier polskich filmów (jakich — pozostaje niewiadomą, istnieje już szereg pozycji całkowicie ukończonych, do kopii wzorcowej włącznie — ale łódzki oddział CWF ciągle nie ma wieści z Warszawy, w jakiej kolejności odbywać się będą premiery. Nawet na styczeń pewny jest na razie tylko jeden tytuł — „Historia współczesna" Wandy Jakubowskiej — trudno w takich warunkach myśleć o przygotowaniach szerokiej, wczesnej kampanii reklamowej).

Połowę programu 1961 stanowić będą filmy z krajów kapitalistycznych, połowę — z naszego obozu. Ta proporcja jest chyba poza dyskusją, spełnia zarówno postulat wartości ideowej repertuaru, jak również zadowala potrzebę pierwiastka rozrywkowego — bo na razie w małym stopniu pokrywają zamówienie na rozrywkę filmy polskie, radzieckie, czechosłowackie, lepiej to robią Amerykanie, Francuzi, nawet Włosi...

Filmy z krajów socjalizmu — w tej grupie repertuarowej sytuacja wydaje się prosta, od szeregu lat obserwujemy powolny wprawdzie, lecz rzeczywisty i wyraźny wzrost poziomu. Dotyczy to zwłaszcza kinematografii radzieckiej. W tej więc grupie — regresu być nie powinno. Zwłaszcza, gdy sobie uświadomimy, że Polska zakupuje tylko część produkcji radzieckiej, lub czechosłowackiej, najlepsze filmy tych krajów. ZSRR — który produkuje rocznie już grubo ponad setkę tytułów — nawet nam nie oferuje rzeczy najsłabszych, stanowiących poważny odsetek w prowincjonalnych wytwórniach.

* * *

Bardziej skomplikowana sprawa jest z pulą filmów, importowanych przez nas z „zachodu". Tu horoskopy są bardziej pesymistyczne, przynajmniej na pierwsze półrocze, dokładniej sprecyzowane tytułami przez biuletyny CWF. O słabej reprezentacji filmów zachodnich zadecydowało kilka czynników — całkiem i niezupełnie obiektywnych.

Przede wszystkim — w poprzednich latach wyczerpaliśmy w znacznym stopniu zapas pozycji wybitnych, o dużych walorach artystycznych, powstałych w latach 1948—1956, w okresie — kiedy filmy zachodnie przedostawały się do nas przez igielne ucho podejrzliwości o ideową kontrabandę. Złoty okres repertuaru naszych kin skończył się właśnie niedawno pod znakiem upłynnienia tych remanentów. Licząc na oko, obejrzeliśmy w kraju chyba ponad połowę puli filmów wybitnych.

Co się zatem dzieje z resztą? Po prostu — albo są to pozycje dla naszej kieszeni zbyt drogie („Wojna i pokój", „Most na rzece Kwai", „Słodkie życie". „W 80 dni dookoła świata", wszystkie dźwiękowe filmy Chaplina), albo też — szereg tytułów zostało obłożonych zakazem eksportu do krajów ludowych (amerykańskie filmy serii krytycznej: „Szkolna dżungla", „Wielki nóż", „Grona gniewu", „Ogień krzyżowy" etc.).

I wreszcie — nastąpił niewątpliwy kryzys wielu kinematografii; casus — wspaniały neorealizm włoski, który dostarczał na nasze ekrany kilkanaście filmów rocznie — poddał się komercjalizacji.

Słaby — w roku 1961 — przeciętny poziom filmów z zachodu na naszych ekranach—ma też przyczyny mniej obiektywne... Tu już trzeba by komuś trochę nawymyślać.

Ale są święta, „kochajmy się" — więc z wymyślaniem wypada poczekać do następnego numeru.

J. W.

POŻEGNANIE Z BRONIĄ

Ernest Hemingway nie ma szczęścia do filmu, tak świetne utwory jak „Komu bije dzwon" i „Śniegi Kilimandżaro" okazały się w wersji hollywoodzkiej konwencjonalne, sfilmowany „Stary człowiek i morze" jest po prostu przeraźliwie nudny. Stosunkowo najbardziej obronną ręką wyszedł reż. Charles Vidor, przekładając na barwny i panoramiczny obraz „Pożegnanie z bronią". Inna rzecz — że najciekawszy materiał tego filmu, znakomite sceny batalistyczne są dziełem innego reżysera, Johna Hustona, który raczył „Pożegnanie" kręcić — poczem nie mogąc dogadać się z producentem — zrezygnował z realizacji. Najcenniejszy jest w filmie element pacyfistyczny, odrażające obrazy wojny i klęski; w warstwie kameralnej, psychologicznej, ukazują się płyciny, mimo niezłej obsady.

M. B.

ROMEO, JULIA I CIEMNOŚĆ

Już trzy nagrody festiwalowe zdobył czechosłowacki film młodego reżysera Jivi Weissa — „Romeo, Julia i ciemność", między innymi Grand Prix w San Sebastan. Proste, lecz wstrząsające zdarzenia z lat minionej wojny: uczeń gimnazjalny ukrywa na strychu w swoim domu żydowską dziewczynę. Rzecz — sama w sobie niebezpieczna — komplikuje się, gdy tajemnica wyszła na jaw, a chłopak musi bronić dziewczynę przed swoim środowiskiem, własnymi rodzicami. Film Weissa jest jednocześnie drapieżny i subtelny, wyjątkowo tylko udaje się połączyć delikatny liryzm z ostrym protestem przeciw wojnie i egoizmowi.

M. B.

Tron we krwi

Akiro Kurosawa: nazwisko wiele znaczące dla tych widzów, którzy nieco poważniej interesują się sztuką filmową. Każde dzieło tego japońskiego reżysera okazuje się głębokie i wstrząsające, a jednocześnie stosunkowo łatwe do przyjęcia nawet przez ludzi nienawykłych do sztuki azjatyckiej. „Tron we krwi", swobodna i daleka od teatralnej konwencji adaptacja szekspirowskiego „Makbeta" — przekazuje w pięknej, doskonałej formie dramatycznej, plastycznej i aktorskiej wszystkie myśli i wartości scenicznego pierwowzoru.

„Tron we krwi" będzie trzecim filmem Kurosawy na polskich ekranach, po „Rashomonie" i „Siedmiu samurajach" — oby zdobył większą frekwencję, niż poprzednie!

A. N.

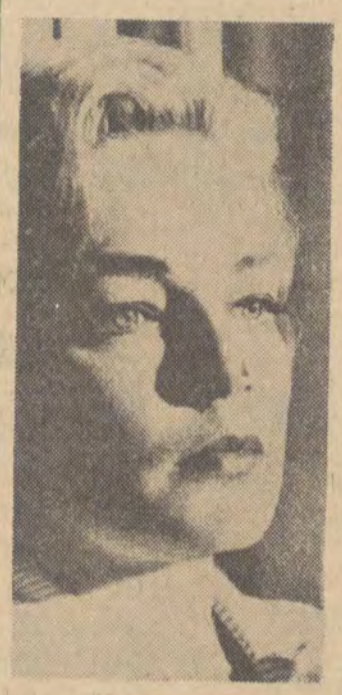

Miejsce na górze

Ten angielski film porównywany jest z „Czerwonym i czarnym" Stendhala, to o czymś świadczy!

Bohater — młody człowiek z ubogiej rodziny pragnie zrobić szybko karierę. Wszelkie środki uważa za dopuszczalne. Zdobywa dwie kobiety — naiwną nieco córkę milionera i mężatkę Alice. Upragniony awans uzyska przez małżeństwo z zamożną panną, lecz doprowadzi do tragedii drugiej kochanki. Reżyserował Jack Clayton, silnie akcentując problematykę społeczną i moralną opowieści. Za rolę Alice — Simone Signoret została nagrodzona w Cannes w roku 1959.

A. N.

TRZY RAZY MASSINA

Aż trzykrotnie — i to już w najbliższych miesiącach ujrzymy na ekranach niezapomnianą bohaterkę „La-Strady" i „Nocy Cabirii".

„BIAŁY SZEJK" — jeden z pierwszych filmów Federico Felliniego

„FORTUNELLA" (reż. Eduardo de Filippo 1957) — Massina gra tu postać — wbrew swemu imieniu — pechowej dziewczyny, co jeszcze innym sprawia kłopoty...

„PIEKŁO W MIEŚCIE" — opowieść o losach dziewczyny z prowincji, która niesłusznie została wtrącona do więzienia (to właśnie owo „piekło").

PASJA ŻYCIA

Najwierniejsza adaptacja filmowa nie odda wszystkich walorów takiej książki, jak opowieść biograficzna o Van Goghu, pióra Irvinga Stone'a. Zapewne też z podobnego założenia wyszedł reżyser „Pasji życia" — dotąd twórca raczej przeciętnych filmów — Vincente Minelli. Co więc pokazał w swoim barwnym i panoramicznym filmie? Przede wszystkim żywego Van Gogha, jednostkę złożoną psychicznie, człowieka wielkiego talentu, ale chorego i niezdolnego do współżycia. Pokazał jeszcze Minelli to, czego nie potrafi przekazać najlepsze dzieło literackie, a mianowicie sztukę malarską, płótna wielkiego artysty. Obrazy Van Gogha stały się w tym filmie już nie rekwizytem, drugoplanowym szczegółem — lecz właściwie podmiotem i równorzędnym partnerem filmowym dla działań głównego bohatera.

„Pasja życia" daje okazję do zetknięcia się z pamiętnym odtwórcą roli Zampano w „La Stradzie" — Antony Quinem, który odtwarza postać Paul Gauguina, oraz z Kirkiem Douglasem w roli Van Gogha. Douglas nie cieszył się dotychczas wielkimi względami u krytyków, lecz tym filmem chyba skutecznie przełamał owe opinie.

A. N.

Redaguje Zespół ○ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ○ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ○ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" ○ Druk: RSW Prasa" — Łódź, Żwirki 17. ○ Zam. 3906. XII. 60 r. R-4

Do Red
10840-A
WiMBP im. J. P. w Łodzi